№ 14. Warszawa, dnia 2 Kwietnia (21 Marca) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWE PRZYMIERZE.

Bajka o wilku, kozie i kapuście, przewożonych przez rzekę w ten sposób, ażeby jedno drugiego nie zjadło, przypomina się nam często w polityce. Ks. Bismark jest właśnie tym przewoźnikiem, który bierze do czółna i zostawia na brzegu kombinacye bezpieczne. Zauważyliśmy już wielokrotnie, że cała jego polityka zewnętrzna zamyka się w tworzeniu sojuszów. Chociaż wobec tak potężnego człowieka i wobec tak potężnego, jak Niemcy, państwa, brzmi to dziwnie, nie przestaje wszakże być faktem, że ks. Bismark boi się — i dlatego zamiast myśleć o wyprawach, buduje twierdze, sypie szańce, zawiera kontrakty — słowem zawiązuje przymierza. Najpoważniejszym i najmocniejszym z tych związków był trójcesarski, który w ostatnich czasach rozluźnił się ze strony Rosyi, co nabawiło kanclerza niemieckiego wielkiej trwogi. Po kilku bezskutecznych umizgach w celu odzyskania straconej przyjaciółki, zwrócił on się z zalotami ku uroczej Italii i zdobył ją dla nowego, również potrójnego (z Austryą) przymierza. Przyjaźń Włoch z Niemcami, trwająca już od dość dawna i wzmacniana ustawicznie, jest podobno najwymowniejszem świadectwem niedołęztwa i krótkowidztwa polityki francuskiej. Polityka ta, szukająca platonicznej miłości na przeciwległym krańcu Europy, nie może dojść do porozumienia z narodem sąsiednim, pokrewnym, naturą stosunków wskazanym na sprzymierzeńca. Rzeczpospolita umiała pokłócić się ze wszystkiemi sąsiadkami: Anglią, Hiszpanią i Italią, zamiast wytworzyć łącznie z niemi związek, który by przeważył w Europie wpływ Niemiec i ich satelitów. Nie wzięto wzoru z ks. Bismarka, który ze szczególną troskliwością starał się o przyjaźń państw przyległych. Ile on wysnuł nici dla oplątania Rosyi i Austryi i jak potrafił przykuć do siebie tę ostatnią po zdruzgotaniu jej! Było to swojego rodzaju arcydzieło sztuki dyplomatycznej. Natomiast Francya, która w tych sąsiadkach nie miała do przezwyciężenia żadnych wstrętów, uraz, pretensyj i nienawiści, nie złączyła się z niemi ani jednym mocnym węzłem. I znowu Włochy, zamiast stać za nią, stanęły z Niemcami przeciwko niej.

Według jednej wieści ten świeży sojusz niemiecko-austryacko-włoski został spisany, według drugiej — tylko ustnie zaprzysiężony. Jakąkolwiek przybrał formę, jest on o tyle zapewnieniem sobie przez Niemcy poparcia, o ile postrachem. Niewątpliwie w wojnie z Francyą Włochy mogłyby im wyświadczyć skuteczną usługę, ale zdaje nam się, że w tym kontrakcie ks. Bismark miał na celu również wywarcie nacisku na Rosyę, o którą mu bardzo chodzi. Przymierze z Francyą, republikańską, zmienną, odległą nie może mieć dla niej wielkiego znaczenia, po za tym zaś stosunkiem pozostaje odosobniona. Kanclerz niemiecki liczy przeto, że jeśli jego sąsiadka zechce dokonać jakiejś operacyi politycznej, nie odważy się podjąć walki z takim oporem i ostatecznie poda mu rękę. Do wniosku tego skłaniają nas dwa powody. Naprzód, dość umiarkowana wrzawa i szybko uciszane rozprawy w dziennikach o owem potrójnem przymierzu, co dowodzi, że ono samo przez się nie posiada wielkiej wagi i obliczone jest na skutek zewnątrz niego spodziewany; powtóre, równoczesne ze strony Niemiec wysiłki wciągnięcia Rosyi do spółki dawnej; potrzecie wreszcie, widoczna od lat wielu dążność polityki niemieckiej do utrzymania pokoju i zapobieżenia starciom nieobliczonym w swych następstwach i rozmiarach. Ile razy kanclerz zapewniał świat o tem swojem pragnieniu, zawsze mu wierzyliśmy. W obecnem otoczeniu, przenikniętem nienawiścią i uzbrojonem groźnie, nie może on wojną prowadzić gry pewnej, a za dużo ma do stracenia, ażeby przystępował do wątpliwej. Nie należy przytem zapominać, że człowiek ten, obok celów materyalnych, przywiązał się do pewnych ideałów państwowych, społecznych i ekonomicznych, które wymagają bezpiecznego pokoju, dającego mu władzę i siłę. Kto wie, co by się stało po nieszczęśliwej wojnie z tymi ideałami! Gdyby więc zdołał, opasałby całą Europę obręczami sojuszów. Dziś przerywają mu sen dwa widma: odwet z zewnątrz i rewolucya wewnątrz. Odstrasza je, dusi, zażegnywa, a upiory wciąż powracają i grożą.

Przypadek wywraca plany i przechwala rachuby najpotężniejszych; czy on więc nie nada biegowi wypadków przyszłości najbliższej jakiegoś nieprzewidzianego kierunku — orzec trudno. Ale dopóki Niemcy trzymają w swych rękach wodze polityki europejskiej, prawdopodobnie utrzyma ona pokój. Mimo swej wartości podrzędnej przymierze niemiecko-austryacko-włoskie umacnia go niewątpliwie, zwłaszcza że mu nie przeciwstawia się żaden równie poważny związek. Czem innem jest postulat, a czem innem fakt rzeczywisty. W życzeniach, w interesach tego lub innego społeczeństwa może spoczywać konieczność wojny, ale to wcale jeszcze nie dowodzi, ażeby ona ze swą pochodnią stała blizko i czekała tylko — wiosny. Ze wszystkich materyałów może najwytrzymalszym i najciągliwszym jest człowiek; wtedy, gdy sądzimy, że on już nie zniesie większego nacisku, brzemię wzrasta a on je dźwiga. Najczęstszym frazesem naszych czasów jest twierdzenie, że „tak dłużej trwać nie może," że „stosunki obecne są nie do zniesienia" — ile razy ludzie to powtarzali i ile razy przekonywali się o swem złudzeniu!

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 19 marca.

Stara baśń w nowem wydaniu. — Walka o tekst. — Kto jest zbawcą gabinetu? — Pęknięta obręcz. — Widoki polepszenia sytuacyi. — Jeszcze reformy społeczno-polityczne. — Wybryki antisemickie.

Burzliwe posiedzenie w Izbie poselskiej. Na porządku dziennym obrad stoi przedmiot, stanowiący o życiu lub śmierci gabinetu. Zabiera głos jeden ze słowiańskich posłów prawicy. Starych taborytów zwyczajem wali oszczepem swej wymowy ku ławom ministeryalnym. Najcięższe zarzuty zakamieniałości wobec uprawnionych żądań swojego narodu ciska w oczy członkom gabinetu, wyszydza dwojaką miarę, używaną przy wymiarze sprawiedliwości niemcom-madziarom a słowianom, mówiąc zaś o samym przedmiocie, podnosi najjaskrawsze pogwałcenie praw językowych i równouprawnienia narodowego ze strony rządu na korzyść przewagi niemiecko-madziarskiej. Rząd ten daje wnioskiem swoim moralny policzek wszystkim słowianom i urąga najserdeczniejszym uczuciom narodu, którego mówca jest przedstawicielem. Powstaje minister, ażeby odpowiedzieć na ciętą i gwałtowną filipikę posła słowiańskiego, którego prawie każde słowo zdobywało rzęsiste oklaski prawicy. Minister jest wprawnym i wytrawnym dyalektykiem, nie może jednakże zbić uzasadnionych zarzutów. Ucieka się przeto do wykrętów, twierdząc, że w danym razie dlatego wykluczono języki słowiańskie, ponieważ niemiecki najbardziej jest rozpowszechnionym i najwięcej rozumianym. Rzecz, o którą chodzi, posiada, wedle jego zdania, doniosłość podrzędną, jest drobnostką, o którą się spierać nie warto, a co do uczuć narodowych, to ich kamerton dla konieczności politycznej obniżyć należy. Słowa ministra nie sprawiają wcale na prawicy wrażenia łagodzącego, gdyż zaledwo ukończył, zabiera głos drugi, potem trzeci i czwarty poseł słowiański, a wszyscy zaznaczają stanowczo swe opozycyjne stanowisko wobec wniosku rządowego. Sprawozdawca wysila wszystkie swe siły w obronie rządu, aż nareszcie przychodzi do głosowania. Za wnioskiem rządowym powstaje cała lewica niemiecka, jak jeden mąż, a z nią połowa Koła polskiego (druga nie bierze udziału w głosowaniu) i mameluczy z centrum. Wniosek rządowy przyjęto 192 przeciw 84 głosom czechów, morawian, słoweńców, dalmatyńców, rusinów i — włochów.

Czytając powyższy szkic burzliwego posiedzenia, któż z ludzi, znających stosunki austryackie, nie zgaduje, iż sięgnęliśmy dziesięć lat wstecz, przedstawiając czytelnikowi jedną scenę z walki parlamentarnej słowian przeciwko uciskowi niemieckiemu z czasów gabinetu Schmerlinga, Giskry lub Auersperga? Tymczasem obrazek powyższy, lubo posiada wierny koloryt stosunków ery niemiecko-centralistycznej, jest odbiciem fotograficznem dni naszych, wizerunkiem jednej z ostatnich sesyj austryackiej Izby poselskiej. Uzupełnijmy wyżej opisaną scenę rzeczowo i wprowadźmy bohaterów. Przedmiotem obrad była pierwsza ustawa, odnosząca się do ugody z Węgrami, a dotycząca nowych statutów bankowych, mianowicie odnowienia przywileju banku austro-węgierskiego na puszczenie w obieg pieniędzy papierowych. W szczególności chodziło o napisy na banknotach. Rząd austryacki ułożył się z węgierskim, że napisy te mają być odbijane wyłącznie w języku niemieckim na austryackiej, a węgierskim na węgierskiej stronie banknota. Inne wykluczono bez wszelkiej ceremonii. Dawniej nie było tego zwyczaju w Austryi. Nawet banknoty z czasów Maryi Teresy i Józefa II, kiedy kwitnęła germanizacya, jako też z epoki absolutystycznych rządów Franciszka I, Ferdynanda i Franciszka Józefa, nosiły napisy we wszystkich językach krajowych Austryi. Wyłączność niemiecko-madziarska pojawiła się dopiero przed dziesięciu laty za „konstytucyjnego“ gabinetu ks. Auersperga. Wówczas walczyły stronnictwa autonomiczne silnie przeciwko temu nowatorstwu, a jednym z rzeczników ówczesnej opozycyi był właśnie dzisiejszy minister Prażak, który przywilej tekstu niemieckiego nazwał „jaskrawem pogwałceniem równouprawnienia, poręczonego konstytucyą.“

Mówcą słowiańskim był teraz dr Gregr, a ministrem, w którego głównie godzono zarzutami — dr Dunajewski; za Gregrem występowali: dr Voszaty, Kowalski i dr Poklukar.

Rząd zwyciężył tylko przy pomocy lewicy, a więc też „klubu niemieckiego“ i skrajnych narodowo niemieckich grup antisemickich (Schönerera i dr. Steinwendera), wobec czego nasuwa się pytanie: więc do tego doszedł nareszcie „autonomiczny“ gabinet hr. Taaffego wraz z p. Dunajewskim i Prażakiem?!

Dla nas w szczególności ma ta sprawa wielką doniosłość, ponieważ Koło polskie stanęło po raz pierwszy w „nowej erze“ do walki parlamentarnej z klubem czeskim, z którym dotychczas łączyły go stosunki ścisłej przyjaźni — i to w sprawie zarówno dotykającej interesów polskich, jak i czeskich. Czy należało zrywać węzły przymierza pod wpływem przesadzonego ministeryalizmu? Politycy Koła mniemają, że było to koniecznością polityczną, gdyż inaczej dzieło ugody z Węgrami nie przyszłoby do skutku. Zdanie to wydaje nam się mylnem, gdyż węgrzy, widząc ze strony austryackiej opór stanowczy, byliby w końcu zgodzili się na tekst „wielojęzyczny,“ jak to raz uczynili przy pierwszej ugodzie za czasów Beusta.

Pod silnym wpływem gromkich słów Gregra rozprysła się prawica na ułamki. Część jej poszła z czechami, druga powstrzymała się od głosowania, trzecia zaś, połowa Koła polskiego, połączyła się z lewicą. Pęknięcie „żelaznej obręczy“ prawicy jest z drugiej strony objawem, rzucającym silny cień na całe położenie wewnętrzne i równałoby się przesileniu, gdyby czesi nie byli wykonali zwrotu, głosując w trzeciem czytaniu za statutem bankowym. Tym sposobem należy spodziewać się, że i solidarność prawicy i dobre stosunki tej ostatniej z rządem będą znowu, i to w jaknajkrótszym czasie, przywrócone. Przeciwko ministrowi Dunajewskiemu wieje niechęć z prasy czeskiej, czyniącej mu zarzut, że w sprawie tekstu banknotowego zaprzeczył swojemu własnemu przekonaniu, przechylając się na stronę lewicy.

Izba poselska wróciła znowu po trzytygodniowej niemal przerwie do dalszego ciągu rozpraw nad ustawą o ubezpieczeniu robotników na wypadek choroby. P. Czajkowski pospieszył zaraz w pierwszym dniu z poprawką do §§ 31 i 34, mającą na celu wykluczenie z pod dobrodziejstw ustawy tych, którzy pozostają w pracy nie stale. Poprawkę tę przyjęto, nim wykluczenie zrobiło dalszy krok naprzód. Czynność ta humanitarna p. Czajkowskiego zasługuje na uznanie!

Wiele zgorszenia sprawiają karczemne występowania niemieckich antisemitów w Izbie, a nawet i na korytarzach, gdzie często przychodzi do scen najskandaliczniejszych. Jak bohaterowie Homera, częstują oni swych rodaków — *Judenknechte* — najsilniejszymi wyrazami, tak dalece, że ostatni akt tych „spotkań“ rozegra się przed kratkami sądu. Głównymi bohaterami skandalu są antisemici Pattai i Türk. To zdziczenie obyczajów w parlamencie jest także

---

POWIEŚĆ.

MATKA DZIKA*)

przez

Guy de Maupassanta.

I.

Od piętnastu lat nie odwiedziłem ani razu Wirlonii. Przyjechałem tam jesienią na polowanie do przyjaciela mego Serwala, który kazał nareszcie odbudować swój zamek, zniszczony przez prusaków.

Lubiłem ten kraj niewymownie. Są na ziemi zakątki prześliczne, które mają dla oka powab iście zmysłowy. Kocha się je miłością fizyczną. My, których nęci ziemia, zachowujemy wspomnienia czułe o pewnych zdrojach, gajach, pewnych strumieniach lub pagórkach, któreśmy często widzieli i które nas rozrzewniały, jak wydarzenia szczęśliwe. Często powracamy myślą do kącika lasu, skraju wybrzeża lub ogrodu usypanego kwiatami, widzianego raz jeden w wesołej chwili i zachowanego w sercu, jak obrazy kobiet o któreśmy się otarli, spotkanych na ulicy w piękny dzień wiosenny w stroju jasnym i przejrzystym, pozostawiających w zmysłach i duszy pragnienie niezaspokojone, niezapomniane, uczucie szczęścia.

W Wirlonii lubiłem całą wieś, posianą małymi gajami, poprzerzynaną rzeczkami, które płynęły po gruncie, niby arterye roznoszące krew po ziemi. Łowiło się tam raki, pstrągi i węgorze! Boskie szczęście! Miejscami można się było kąpać, spotykałeś też niekiedy słomki, kryjące się w wysokich trawach, wyrosłych nad brzegiem tych wąskich strumyków.

Szedłem lekki jak jeleń, patrząc, jak moje dwa psy harcowały przedemną. Serwal o sto kroków na prawo odemnie deptał niwę lucerny. Mijając krzaki, które tworzą granicę lasu, ujrzałem chałupę w gruzach.

W tej chwili przypomniałem ją sobie taką, jaką widziałem po raz ostatni w r. 1869, czystą, ubraną winnemi latoroślami, z kurami w około domu. Cóż może być smutniejszego, jak szkielet martwego domu zniszczony, złowrogi?

Przypomniałem sobie także, że w domu tym jakaś dobra kobieta koiła moje zmęczenie szklanką wina i że Serwal opowiedział mi wówczas dzieje jego mieszkańców. Ojciec, stary kłusownik, został zabity przez żandarmów. Syn, którego niegdyś widziałem, wysoki, chudy chłopak uchodził również za okrutnego trzebiciela zwierzyny. Zwano ich Dzikimi.

Byłoż to nazwisko czy przezwisko?

Huknąłem na Serwala. Zbliżył się swoim długim, czaplowatym krokiem.

Zapytałem go.

— Co się stało z tymi ludźmi?

Opowiedział mi tę oto historyę.

II.

Kiedy wybuchła wojna, syn Dzikich, mający wówczas lat trzydzieści trzy, zaciągnął się do wojska, zostawiając matkę samą w mieszkaniu. Nie żałowano zbytnio starej, gdyż wiedziano dobrze, że ma pieniądze.

Została tedy sama w tym domu odosobnionym daleko od wsi, na skraju lasu. Nie bała się zresztą, należąc do tej samej rasy, co jej mąż i syn; była to tęga stara baba, wysoka i chuda, nie często się śmiała i nigdy nie żartowała. Zresztą kobiety wiejskie nie śmieją się wcale. To jest rzecz mężczyzn. Mają one duszę smutną i ograniczoną, pę-

---

*) La mère Sauvage.

jednym z charakterystycznych rysów nowszych stosunków austryackich. Prezydent Smolka nie może sobie dać rady z awanturnikami. Niestety niema on dostatecznej mocy dla poskromienia wybryków. Dla tego myślą w kołach parlamentarnych o rozszerzeniu władzy dyskrecyonalnej prezydenta.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zmarnowałby pracę ten, ktoby w potoku bieżących wypadków politycznych chciał złowić jakąś pomyślną nowinę. Wszędzie albo widoki smutne, albo materyał do cierpkiej satyry. Febra trzęsie Europą pomimo wszystkich leków i wprawia ją w gorączkę z objawami najszaleńszej maligny. Środowisko systemu politycznego, Berlin pracuje niezmordowanie, zawiązując przymierza i targając stosunki cudze. Ks. Bismark, wprowadziwszy w sferę swej siły przyciągania króla Humberta, dobija targu z papieżem. W Izbie panów, gdzie przedstawiono projekt unicestwienia kilku praw majowych, kanclerz przemawiał energicznie za zgodą, przyczem ofiarował Leonowi XIII bukiet świeżych pochwał i wypierał się ponownie ojcowstwa ustaw przeciw katolicyzmowi. Był on do nich — tak zapewniał — zmuszony częścią przez wrogą postawę centrum, częścią przez opór kolegów. Z tego oporu Izba uśmiechała się nie tak głośno, jak kiedyś członkowie sejmu, ale leciuchno, po pańsku. Z po za krętaniny, kłamstw i cynizmu wychyla się ten fakt, że ks. Bismark chce ostatecznie przy pomocy papieża dobić centrum i tym sposobem zewnątrz zyskać przyjaciela a wewnątrz zdruzgotać przeciwników. Do Berlina przybył od „ojca św.“ dla załatwienia interesu mr. Galimberti, który po cichu tłomaczy Windhorstowi i jego rzeszy, że powinni zaprzestać walki, oddać szpady kanclerzowi a na swym sztandarze umieścić wyłącznie wizerunek Leona XIII, błogosławiącego „siłę przed prawem.“

Podczas wyboru do sejmu daremnie opozycya ostrzegała głosujących gilów, że idą na lep, że rząd nie chce siedmiolecia wojskowego, ale takich przedstawicieli narodu, którzyby umieli tylko kiwać potwierdzająco głowami i uchwalili nowe podatki. Prasa gadzinowa z całą mocą płatnego oburzenia piętnowała obelgami ten wymysł niegodny. I oto ks. Bismark, mając w sejmie powolną większość, zaczął już jej przywódcom wykładać dobrodziejstwo opodatkowania wódki i cukru, a może nawet monopolów. Wkrótca gile zrozumią wartość lekceważonych ostrzeżeń.

Po uroczystościach z powodu rocznicy urodzin cesarz Wilhelm zaniemógł, ale podobno jeszcze raz wraca do zdrowia.

Hiszpania znowu przerwała sobie nudy rewolucyą, którą w zarodzie dostrzeżono i stłumiono. Jest to wszakże nowotwór, który pomimo operacyj ciągle odradzać się będzie, dopóki zgniły organizm nie stworzy sobie warunków hygienicznych. Na nieszczęście lekarze państwowi często bywają tylko chirurgami. Dowodem Anglia, która mniema, że surowością usunie chroniczną chorobę irlandzką. Wniesiono bil, obostrzający kary za przestępstwa gwałtu, napadów i morderstw, popełniane przez mściwych niewolników John Bulla w Irlandyi. Jest to jedyny środek, jaki ministerium zachowawcze wynalazło dla rozstrzygnięcia krwawej tragedyi. Niewątpliwie pomnoży liczbę ofiar, ale walki nie przetnie.

Z Afganistanu nadeszły wiadomości, które trwogą przejęły zimnokrwistych handlarzów i wzywają pomocy... funtów szterlingów. Herat zagrożony, sąsiedzi emira grożą niebezpiecznem starciem — a wiadomo, że to w honorze politycznym John Bulla punkt najczulszy. Tam nie można sięgnąć bilem.

Francya może sprawi sobie na święta nowe ministerium pod przewodnictwem p. Clémenceau, który już zaczął bywać na obiadach dyplomatycznych u posła niemieckiego, oszlifował się więc już nieco i ukształcił do objęcia rządów. Jeśli go teka nie minie, będzie miał przyjemną wiosnę i nie utrudzi się zbyt kłótniami z Izbą, bo ona na lato niezawodnie przygotuje sobie świeży, sezonowy gabinet. Ten *article de Paris* zmienia się prędzej, niż inne, może dlatego, że nie jest przedmiotem wywozu lecz służy tylko potrzebom miejscowym.

Bułgarya o tyle w tygodniu ubiegłym wytrwała w uporze Galileusza, że jeden z jej rządów pojechał do Wiednia z jakiemś przedsięwzięciem dyplomatycznem, a drugi objeżdża kraj i podobno jedna zwolenników dla Battenberga. Co do ostatniego — wątpimy. Regencya raczej pragnie tym sposobem gasić zarzewie buntów, które tli się ustawicznie i grozi pożarami.

Ambasador rosyjski w Konstantynopolu przypomniał Porcie zaległą kontrybucyę wojenną, która wzrosła do poważnej sumki 4,330,000 rs. Przypomnienie to, mające z pewnością na widoku nie sam interes pieniężny, zakłopotało sułtana, który przysięga się, że robi wszystko, co może, że Riza-bej wysłany do Bułgaryi miał najlepsze chęci, ale itd. Naturalnie rząd turecki przygotowuje okólnik (którego przybliżony numer porządkowy zatarł się w najtrwalszej pamięci) do mocarstw, zapraszający je do współdziałania.

Ameryka zawarła z Rosyą układ, w którym zobowiązała się wydawać przestępców politycznych, targających się na życie osób koronowanych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY ZE WSI.

II. Praca organiczna.

Przystępując wprost do rzeczy, nie będę tu kreślił poglądów historycznych lub historyozoficznych na stanowisko szlachty polskiej w czasach dawnych, ani też zastanawiał się, co wpłynęło, że ta klasa narodu aż do 1864 r. faktycznie była jedyną siłą kraju — w znaczeniu moralnem i materyalnem.

Sięgnę myślą w chwilę mniej oddaloną, a mianowicie tę, w której pierwsze oznaki osłabienia tego przemożnego dotąd żywiołu występować zaczęły z coraz większą siłą.

Strasznym dla większej własności ziemskiej był przełom 1864 r. Dotknął on przedewszystkiem jej interesów materyalnych, ale w ślad za tem poszedł upadek moralny, przygnębienie i osłupienie, niedozwalające prawie zebrać myśli. Dziwić się temu nie należy. Trzeba by jakiejś społeczności silnej, wyrobionej i zahartowanej, żeby nie zachwiała się wobec przewrotu, zmieniającego rdzennie podstawy bytu. My taką społecznością nie byliśmy. Z dawien dawna charakter ziemiaństwa stanowił piętę Achillesa, w którą przeciwności najłatwiej mogły wbijać swe zatrute strzały. Bawić się — nawet bardzo wesoło — umiano; co będzie jutro, mało to kogo obchodziło, a gdy przyszło niebezpieczeństwo, nie było komu radzić.

W takiej chwili, w narodzie naszym, zwłaszcza w młodzieży, rozbudzać się zaczęła reakcya przeciwko ospałym i zapleśniałym poglądom starej szkoły szlache-

---

dząc żywot ponury i bez promieni. Wieśniak nabywa nieco hałaśliwej wesołości w karczmie, ale towarzyszka jego pozostaje poważną, z fizyonomią niezmiennie surową. Mięśnie ich twarzy zupełnie nie znają skurczów śmiechu.

Matka Dzika prowadziła dalej zwykły swój żywot w chałupie, którą niebawem pokryły śniegi. Raz na tydzień szła na wieś po chleb i mięso, poczem wracała do swojej szopy. Ponieważ mówiono o pojawieniu się wilków, brała z sobą starą, zardzewiałą strzelbę syna i zarzucała ją na plecy. Ciekawą było rzeczą widzieć, jak ta wielka kobieta, nieco zgarbiona, sunęła szerokimi krokami po śniegu, a z za czarnego czepca, wiążącego jej ukryte blond włosy, wystawała lufa od strzelby.

Pewnego dnia przybyli prusacy. Rozkwaterowano ich pomiędzy mieszkańców stosownie do majątku i środków każdego. Starej, którą uważano za bogatą, dostało się w udziale czterech.

Byli to tęgzy chłopcy o jasnej cerze, jasnych brodach i niebieskich oczach: wszyscy ludzi dobrego serca, chociaż w kraju podbitym. Sami będąc u tej starej kobiety, okazywali jej niezmiernie wiele uprzejmości, oszczędzając jej o ile się dało wydatków i fatygi. Można było ich widzieć, jak rano w surowy dzień zimowy śród śniegów myli się przy studni, oblewając pełnymi strumieniami swoje różowobiałe ciało ludzie północy, podczas gdy ich gospodyni przyrządzała im zupę. Następnie widziano ich, jak sprzątali kuchnię, szorowali podłogę, rąbali drzewo, obierali kartofle, prali bieliznę i wykonywali wszystkie czynności domowe, niby czterej dobrzy synowie około swojej matki. Ale ona myślała ustawicznie o swoim wysokim chuderlaku z zakrzywionym nosem, piwnemi oczami i gęstym, szczeciniastym wąsem. Pytała codziennie każdego z żołnierzy:

— Nie wiecie, gdzie stoi 23-ci pułk piechoty francuskiej? Mój syn tam się znajduje.

— Odpowiadali:

— Nie, nie wiemy.

A pojmując jej zmartwienie i niepokój, wyświadczali jej tysiące drobnych usług. Ona zresztą lubiła bardzo swoich czterech nieprzyjaciół, gdyż wieśniacy nie mają wcale nienawiści patryotycznych; to należy tylko do klas wyższych.

Maluczcy, ci, co płacą najwięcej, ponieważ są biedni i których każdy nowy podatek obarcza, ci których zabija się masami, którzy tworzą prawdziwy żer dla kul, ponieważ są ogromem liczebnym, ci wreszcie, których najsrożej ścigają okrutne niedole wojny, ponieważ są najsłabsi i najmniej oporni, nie rozumieją wcale tej zaciekłości wojowniczej, tego pobudliwego punktu honoru i tych mniemanych kombinacyj politycznych, które w przeciągu sześciu miesięcy wyczerpują dwa narody: zwycięzki i zwyciężony.

W okolicy, mówiąc o niemcach, wieśniaczki powiadały:

— Oto ci czterej znaleźli sobie legowisko!

Pewnego poranku, kiedy starucha siedziała sama w mieszkaniu, ujrzała na drodze zbliżającego się ku jej chałupie człowieka. Niebawem poznała, że był to szeregowiec, roznoszący listy. Przyniósł jej jakiś zwinięty papier. Wyjęła z futerału okulary, któremi się posługiwała przy szyciu, i zaczęła czytać.

„Łaskawa Pani. Muszę Ci donieść smutną nowinę. Syn Pani Wiktor zginął wczoraj od kartacza, który go przeciął na dwoje. Byłem tuż obok, gdyż służyliśmy w jednym szeregu. Prosił mnie, ażebym panią zawiadomił, jak tylko mu się nieszczęście przytrafi.

Wziąłem do kieszeni jego zegarek, ażeby pani odnieść po skończeniu się wojny.

Cezar Rivot.

Szeregowiec 2-giej klasy 28-go pułku.“

List był datowany z przed trzech tygodni. Stara nie płakała. Była ona tak rażo-

ckiej. Czy chwila dobrze była wybraną, spierać się o to nie będę, a nawet uznając pożyteczność i konieczność takiej reakcyi, zarzucę jej tylko lekkomyślne rzucenie się na szlachtę, którą nietylko potępiano za całą przeszłość narodu, lecz nadto ogłoszono za główną przeszkodę w wyrobieniu się jego przyszłości. Słowem: *morituri!* scharakteryzowano ten stan niegdyś tak potężny i odtąd wszystko złe spychano na jego barki. Jakby żyd powiedział: „dwiema batami“ bito w skórę inteligencyę wiejską, która pod gradem razów głowy nawet podnieść nie mogła.

Takie więc bezwzględne potępienie nazywam lekkomyślnem, gdyż niezależnie od głoszenia zasad nowej szkoły, należało pozwolić choć trochę odetchnąć tej warstwie, która, bądź co bądź, istniała i zawsze dość jeszcze silny czynnik w ustroju społecznym stanowiła, ażeby nie brać go w rachunek.

Był to pierwszy błąd stronnictwa postępowego. Innemi drogami i z większem umiarkowaniem tak samo można było zaznaczyć nowe prądy społeczne, lecz powalonemu przeciwnikowi choć trochę współczucia okazać się godziło.

Skutek tych zbyt krewkich porywów okazał się bardzo niekorzystnym. Mam to najgłębsze przekonanie, że zasady postępowe, głoszone z umiarkowaniem, nieuciekające się do bezwzględnego druzgotania wszystkiego, co do tej pory stanowiło katechizm wiary żywiołu oświeconego, przyjęte by zostały życzliwie i w krótkim czasie pociągnęły za sobą cały ogół myślący.

Tymczasem drogi takiej nie obrano... Szlachta w owej chwili, zajęta ratowaniem bytu materyalnego, nie zbyt dobrze wiedziała, co się dzieje w siedlisku wiedzy i inteligencyi; ruch „młodych“ w Warszawie nie zastanowił jej w pierwszej chwili.

Znaleźli się jednak „uczciwi pośrednicy,“ którzy potrafili ją w tem wyręczyć. Czarne te kruki, ułożywszy usta do smętnego uśmiechu, wyciągając rękę ze współczuciem do „nieszczęśliwych a najzacniejszych ziemian,“ zaczęły ich objaśniać, że tam, w Warszawie, powstało stronnictwo wywrotu, zaprzeczające istnieniu Boga, druzgocące tradycyę i historyę narodu, którego hasłem: zagłada wszystkiego, co szlacheckie. Nie wspomniano nic o tem, że burzyciele ci są krwią krwi i kością kości naszych, że pragną zarówno jak wszyscy dobra kraju, tylko na sztandarze swym wypisali słowo „postęp“; natomiast wcale niedwuznacznie dawano do poznania, że wyznają zasady komunistyczne, chcą obalić własność, zgładzić do szczętu szlachtę, że są narzędziem rąk obcych a potężnych...

Czy można było bardziej zohydzić kierunek i ludzi, którym wiele można było zarzucić, ale zdrady nigdy?...

To postępowanie prasy konserwatywnej, „ostrzegającej przed niebezpieczeństwem,“ było wysoce nagannem. Bezwzględnie potępiła ona wszystkie hasła stronnictwa postępowego, a na jego koryfeuszach nie zostawiła suchej nitki. Gdy przytem nietylko zalecała, ale wprost nakazywała trzymanie się oburącz sztandaru tradycyi i taktyki dawnej, świat ziemiański, któremu dogadzała pod pewnym względem bierność na zewnątrz, gdy wewnątrz tyle było do roboty, zaślepił się, stłumił w sobie wszelkie gorętsze porywy i jak ślimak skrył głowę w skorupie.

Że jednak najbezmyślniejsze społeczeństwo bez jakiegokolwiek programu się nie ostoi, straż ratunkowa uznała za stosowne wyrzucić jakieś godło, które stałoby się pierwszem przykazaniem wiary zachowawczej.

Za danym znakiem „organa ziemiańskie“ zagrały na nutę *pracy organicznej!*

Praca ta, w jej szerokiem znaczeniu przyjęta za zasadę przez stronnictwo postępowe, posłużyła przewódcom konserwatyzmu za konika, na którego wsadziwszy posłuszne ziemiaństwo, mogli być pewni jego bezwzględnego posłuszeństwa i wykonywania wszelkich zwrotów w zakresie areny wyznaczonej przez dyrektorów cyrku szlacheckiego.

A zakres to był bardzo szczupły! Pracę organiczną ścieśniono do najszczuplejszych granic „walki o byt,“ której wprawdzie w te słowa nie ubrano, jako niepopularną i przypominającą Darwina i Häckla, lecz pomimo odmiennego określenia treść tylko w tych dwóch słowach się zawierała. Pracą zatem organiczną miała być troska o przymnożenie chleba codziennego, starania o utrzymanie stanowiska materyalnego, wykreślenie z programu wszystkiego, co wkraczało w sferę działalności rolników jako obywateli kraju, słowem — skierowanie trudu, dążeń i celów tylko do zachowania w ręku ziemi.

Ziarno to w dobrą porę na niwę szlachecką padło! Bieda zajrzała wszystkim w oczy, jeszcze chwila, a cały ten gmach ziemiański runąć w przepaść może, więc nie wytykając nosa po za miedzę własnego folwarku, weźmy się do pracy, oszczędności, zapomnijmy o przyjemnościach życia, aby tylko jego ciężar wziąć na ramiona.

Zwrot w obyczajach, zwyczajach i charakterze nastąpił nagle i na całej linii. Mówcie, co chcecie, panowie, ale ta jednomyślna zmiana frontu całego stanu świadczy, że tkwią w nim jeszcze zarody zdrowia i siły, niepozwalające na przysypywanie ziemią tego, co jeszcze świecić może. Powiecie, że konieczność położenia zmianę tę dodatnią wywołała, że strach o własną skórę z tej hulaszczej i lekkomyślnej szlachty zrobił gorliwych i skrzętnych pracowników? Nie! Przypomnijcie sobie, co lat temu sto robili przodkowie tej samej szlachty. W chwili rozbicia nawy społecznej tańczyli na wulkanie lub z ułańską choragiewką w ręku, krew i życie dawali w ofierze innym narodom!...

Czy obecne pokolenie szlacheckie wystawia sobie równie smutne świadectwo?

I znów powiem — nie! Ale niezaślepiony bałwochwalczą czcią dla stanu, z którego pochodzę, widząc dobre strony sprawy, nie zamykam oczu na ujemne.

Te zaś ostatnie występują w rozmiarach bardzo poważnych.

Uniesieni krewkością, właściwą temperamentowi narodowemu, przegalopowaliśmy metę, przy której stanąć należało i jak żyd w tańcu, do upadłego, po jednej desce społecznej sali, wywijamy obroty.

„Praca organiczna“ — jeszcze raz powtarzam — jednostronnie pojęta, wprawiła nas w pewnego rodzaju obłęd. „Dziesięć korcy przenicy na mordze“... powtarzamy wciąż jakby w gorączce i ta *idée fixe* do tego stopnia zawładnęła myślą i pracą rolników, że dla innych pragnień, celów, obowiązków miejsca nie starczy.

I tu spoczywa błąd najstraszniejszy żywiołu szlacheckiego.

Przegalopowawszy metę, wciąż nowe oszczędności budżetowi naszemu naznaczamy. Gdyby tu chodziło tylko o stronę jego materyalną, ano... i owszem; ale ten budżet prócz cyfr dochodu i rozchodu warsztatu rolniczego, zawiera w sobie pozycye dorobku lub strat naszego ducha, naszej pracy społecznej i obywatelskiej. Cóż w nie zapisujemy? Niestety! nic — a nawet gorzej, bo... minusy.

Po za pracą około warsztatu własnego, po za usiłowaniami, dążącemi do zapewnienia *osobistego* dobra, stan ziemiański nie zna dziś innego programu. Za mało to trochę... I dlatego takie zboczenie w dążeniach zasadniczych jednostek sprowadza wykolejenie się całego stanu.

Sobkostwo, zmateryalizowanie się najzupełniejsze, zobojętnienie na wszystko, co

---

ną, tak pognębioną, że nawet nie cierpiała jeszcze. Mówiła do siebie: to Wiktora teraz zabiło? Powoli jednak łzy cisnęły się jej do oczów i serce ogarnęła boleść. Do głowy przychodziły jej straszne, męczące myśli. Nie ucałuje go już więcej, swojego chłopaka, swoje dziecko, nigdy już! Żandarmi zabili jej męża, prusacy zabili jej syna. Rozcięty został kartaczem na dwoje. Zdawało się jej, że widzi to straszne zjawisko: głowę spadającą, oczy rozwarte i usta jego gryzące końce grubych wąsów, jak to czynił w chwilach gniewu.

Cóż stało się później z jego trupem? Gdyby przynajmniej oddano jej dziecko tak, jak niegdyś oddano jej męża z kulą w środku czoła?

W tem dały się słyszeć głosy ludzkie. Prusacy wracali ze wsi. Stara schowała szybko list do kieszeni i, otarłszy łzy, powitała ich spokojnie, ze zwykłą miną. Wracali uśmiechnięci w pysznym humorze, gdyż przynieśli ładnego królika, skradzionego zapewne i dawali znak starej, że będą jedli coś dobrego.

Zabrała się też zaraz do roboty, by przyrządzić śniadanie, ale dla zarżnięcia królika, brakło jej odwagi. Wszakże nie był to pierwszy! Jeden z żołnierzy zabił go uderzeniem pięści.

Kiedy królik był już zabity, odarła ciało ze skóry, ale widok krwi, której dotykała i która pokrywała jej ręce, krwi ciepłej, która w palcach jej stygła i krzepła, nabawiał jej dreszczu od stóp do głowy. Widziała wciąż swojego syna rozciętego na dwoje, całego czerwonego, jak to zwierzę jeszcze dyszące.

Siadła z prusakami do stołu ale nie mogła nic jeść, nawet jednego kęsa połknąć. Oni pochłaniali królika, nie zważając na nią. Stara spoglądała na nich z boku i nic nie mówiła. W głowie jej dojrzewała jakaś myśl, ale twarz miała taką obojętną, że oni nic nie zauważyli.

W tem zagadnęła ich: „Patrzcie, nie znam nawet waszych imion, a już miesiąc ze sobą mieszkamy. Nie bez trudu zrozumieli, o co jej chodzi, i powiedzieli jej swoje nazwiska. To jej nie wystarczało; kazała je sobie napisać z adresem ich rodziców i, włożywszy okulary na swój duży nos, oglądała to pismo nieznajome, poczem zwinęła kartkę i włożyła do kieszeni obok listu, który oznajmił jej śmierć syna.

Po jedzeniu rzekła do nich:

— Idę teraz zająć się wami.

I jęła znosić siano do stodoły, gdzie sypiali. Dziwili się temu zajęciu, ale ona wytłomaczyła, że nie będzie im w nocy tak zimno. Sami więc jej pomagali. Naznosili snopów aż pod dach słomiany i w ten sposób utworzyli sobie rodzaj dużego pokoju ciepłego i wonnego, w którym będą spali cudownie.

Przy obiedzie jeden z nich zaniepokoił się, widząc, że gospodyni ich nic nie je. Utrzymywała, że ma kurcze. Potem napaliła mocno w piecu, żeby się rozgrzać. Niemcy poszli na górę do swojego pokoju przy pomocy drabinki, którą się co wieczór posługiwali.

Zaledwie zamknęli drzwiczki, stara usunęła drabinkę, otworzyła cichaczem drzwi, wychodzące na dwór i poszła po snopy słomy, któremi napełniła swoją kuchnię. Szła boso po śniegu tak cicho, że nie było jej wcale słychać. Od czasu do czasu przysłuchiwała się głośnemu i niejednostajnemu chrapaniu czterech śpiących żołnierzy.

Uważając przygotowania za dostateczne, rzuciła jeden ze snopów do ogniska, a kiedy zapalił się, rozsypała go po innych, potem wyszła i patrzyła.

Straszna jasność oświeciła w kilka sekund całe wnętrze chałupy, był to niby olbrzymi piec płonący, którego blask tryskał z wązkich okien, rzucając na śnieg błyszczące smugi światła.

Nagle ze szczytu chałupy dał się słyszeć krzyk okropny, potem jęki ludzkie, wołania

szerszych sięga widnokręgów, odsuwanie się od spraw publicznych, zatracenie solidarności stanowej — oto następstwa jednostronnego stosowania haseł „pracy organicznej.“

Nie dziw, że stronnictwo młode, kołacząc do ducha, żądając działalności wszechludzkiej i wszechobywatelskiej, a spotykając tylko odosobnione wysiłki robotników zagonu, rzuca kamieniem na stan, nieumiejący się podnieść po nad regułę codziennego życia, usuwający z programu swego wszystko, co nie odpowiada pragnieniu jednostki, zaniepokojonej o byt osobisty.

Dotknąwszy tej rany naszego ziemiaństwa, niepodobna mi szczegółowo analizować wszystkich soków trujących, które stan jej zapalny zwiększają; lecz postaram się zaznaczyć przynajmniej główniejsze cierpienia organizmu szlacheckiego.

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

III.

„Filozofia kobiety“ p. d'Alq. — Treść i charakterystyka. — Fabrykacya ładnych ruchów. — Perfumy literackie. — Jakich jeszcze filozofij możemy się spodziewać. — Psychologia dziecka Pereza. — Jej znaczenie dla teoryi i praktyki. — Embryologia pojęć moralnych. — Hypnotyzm i wychowanie. — Posiedzenie w Nancy. — Ochorowicz.

Na papierze lśniącym i delikatnym, jak naskórek dłoni dziewiczej, w okładce jasnej a ponętnej, jak strój poranny wielkoświatowej damy, ukazała się miła w dotknięciu, pieszcząca oko misternym drukiem i wabnymi zakrętasami na początku rozdziałów, *Filozofia kobiety* pani... Ludwiki d'Alq*). Autorka to wielu książek treści moralno-wychowawczej, a zwłaszcza salonowo-dresurowej, której koroną jest epokowego znaczenia dzieło *Le nouveau Savoir Vivre universel* (w trzech tomach), przyswojone i naszemu, łakomemu na zdobycze myśli współczesnej, piśmiennictwu. Powaga samej firmy nakazuje nam przyjrzeć się najmłodszemu dziecku ducha, tak niepospolitej na polu obyczajowości działaczce. Przychodzi to łatwo. Styl taki powiewny i lekki, jak zefir. Treść podzielona na mnóstwo drobnych całostek, ułożonych jak cukry w bombonierce, choć łatwiejszych niż one do strawienia. Umysł kobiety „z towarzystwa,“ zlekka tylko muska w przelocie różne zagadnienia życia niewieściego. Znajduje ona, że przedstawicielki płci nadobnej przez sam swój ustrój wrażliwy, nerwowy, kapryśny, skazane są na większą słabość i częstsze cierpienia, że jeśli kto, to one właśnie najbardziej potrzebują specyalnej filozofii życia, któraby im dała wytrwałość, rezygnacyę i hart wobec pocisków losu i upośledzonego, zawisłego od urody położenia w społeczeństwie. Znajdujemy więc tutaj rady na wiele dolegliwości bytu małżeńskiego, zachętę do kształcenia siły charakteru, teoryę sztuki zjednywania sympatyi ludzkiej oraz podobania się, wykład obowiązków warstw uprzywilejowanych względem maluczkich i wiele tak zwanej „mądrości życiowej.“ Możnaby książkę francuzkiej pisarki określić w ten sposób: jest to odpowiedź na pytanie: jak należy postępować z ludźmi i urabiać własny sposób myślenia, by doświadczać jaknajwiększej szczęśliwości. Naturalnie z hygieny tej mają korzystać przedewszystkiem damy, a w większości pojedynczych wypadków nawet przedstawicielki „wyższych sfer,“ których dobro autorce szczególnie leży na sercu. Byłoby jednak niesprawiedliwością przemilczeć, że często pani d'Alq prawi zdrowo i rozumnie. Znać zaraz, że to Metternich... kobieta, która dużo rzeczy widziała i potrafiła z nich sens moralny wyciągnąć. Dotykając zatargów domowych i towarzyskich, dowodzi, że trzeba być skorym do ustępstw w drobiazgach, ale w rzeczach ważniejszych umieć bronić swego stanowiska i zdania. Napada na owe wyblakłe postacie, co to już w latach młodzieńczych niedostępne są zapałowi, skłonne w każdej sytuacyi upatrywać odwrotną jedynie stronę medalu, rozgoryczać się błahymi zawodami i wszystko czarnym powlekać kirem. Lituje się nad niecierpliwcami, którzy nie pojmują, że do sławy i zaszczytów dochodzi się mozolną drogą pracy, ale chcą ją zdobyć odrazu—przemocą, i rozczarowani, stargani na ciele i duchu, kończą żywot w nieuleczalnej apatyi. Uczy o zmienności losu i konieczności przyjmowania z poddaniem nagłych jego ciosów; maluje wymownie znikomość dobra materyalnego, wyrzuca z programu życiowego małostki, uprzytomnia nicość tych, którzy zrażają się do podnioślejszych celów, reflcksyą, iż jej owoce dojrzeją dopiero za wieków kilka, porównywa względną wartość cnót filantropijnych i zaleca je gorąco; słusznie oblicza, że bogatsi stale mniej czynią dla bliźnich od swej uboższej braci, albowiem ofiary ich są *stosunkowo* mniejsze; zachwala cenę jałmużny moralnej, czyli dobrego przykładu dla klas upośledzonych, zakładania szkółek dla dzieci chłopskich, szerzenie światła itd. Zbogacając w ten sposób treść życia kobiet, spodziewa się osłabić ich czułość na pociski fortuny, utratę piękności i to wszystko, co zazwyczaj zniechęca je i ogałaca z uroku. Mnóstwo jest uczuć i pożądań szlachetnych, które tak mogą wypiętnować się na twarzy, że z najbrzydszej czynią wdzięczną i pociągającą. Urodziwa wietrznica nie wytrzymuje współzawodnictwa z myślącą, choć niełądną siostrzycą. Autorka posuwa się aż do wysnuwania stąd wniosków praktycznych i radzi brzydkim swym towarzyszkom napełniać głowy i serca taką materyą uczuciowo-umysłową, któraby ich rysom nadała wyraz błogości, słodyczy, a postawie wdzięku. Pomysł to cudowny — i mężczyźni powinniby mu namiętnie przyklasnąć, ale jest tu maleńki sęk: jaka kobieta uwierzy lub da się przekonać, że Apollo nie tworzyłby z nią całkiem dobranej pary, a wiosna jej życia już minęła?

Jest też w „Filozofii“ kilka uwag trafnych. „Typem piękności paryskiej, powiedziałabym nawet, europejskiej, nie jest już teraz uroda plastyczna; zarzucono go od dawna i zastąpiono pięknością *inteligentną*, a ta może być udziałem wszystkich, którzy ją rozumieją.“ Czołem przed prawdą! Napotykamy także spostrzeżenia znakomite, głębokie, pełne przenikliwości psychologicznej — są to mianowicie... cytaty z Rousseau'a, Guizota, Silvia Pelico i innych.

Wogólności zaś dziełko p. d'Alq jest zjawiskiem nawskroś francuskiem. Kobieta z wyższem i prawdziwem wykształceniem wybierze z niego kilka urywków, a resztę odrzuci jak mdłe perfumy. Pieszczocha buduarowa może je czytać nawet wówczas, gdy jej garderobiana karbuje grzywkę, bez obawy nadwyrężenia umysłu, a niejeden literat, skuszony szumnym tytułem, gotów napisać „Filozofię palenia tytuniu“! Jeżeli bowiem szkoła ładnych ruchów i przepisy zachowywania się w towarzystwie, których niemało jest w pomienionem cacku, zasługują na miano filozofii, to dlaczegóż gorszą ma być teorya, dajmy na to, zażywania tabaki?

Natomiast chętnie nazwałbym „Filozofią kobiety“ i zaleciłbym gorąco poważnym matkom i kierowniczkom *Psychologię dziecka*, której specyalnie i z wielkiem zamiło-

*) *La philosophie d'une femme.* Paryż. 1887.

---

rozdzierające, pełne przerażenia i trwogi. Drzwiczki runęły wewnątrz, fala ognia wpadła do spichrza, przewierciła dach słomiany i strzeliła w niebo, jak płomień olbrzymiej pochodni i cała chałupa zgorzała.

Nie było słychać nic więcej, tylko syk ognia, trzask ścian i walenie się belek. Nagle dach się zapadł i płonący kadłub domu rozsypał w zadymionem powietrzu całą rakietę iskier.

Biała od śniegów wieś oświecona ogniem, błyszczała jak obrus srebrny, pokryty gazą czerwoną.

Dzwon zaczął bić w oddali.

Stara Dzika stała przed swojem zniszczonem domostwem, uzbrojona w strzelbę syna z obawy, ażeby który z ludzi nie umknął.

Widząc, że już wszystko skończone, rzuciła strzelbę w płomienie. Rozległ się wystrzał.

Nadchodzili ludzie, wieśniacy, prusacy.

Zastali kobietę siedzącą na pniu drzewa, spokojną i zadowoloną.

Oficer niemiecki, który mówił po francusku jak syn Francyi, zapytał ją:

— Gdzie są pani żołnierze?

Wyciągnęła swoją chudą rękę, i wskazując czerwone zgliszcza gasnącego pożaru, odpowiedziała silnym głosem:

— Tam!

Ciśniono się koło niej. Prusak zapytał:

— Jak się wszczął ogień?

Odrzekła:

— Ja go podłożyłam.

Nie wierzono jej. Myślano, że ruina majątku pozbawiła ją nagle zmysłów. Wówczas, widząc się otoczoną i słuchaną, opowiedziała całą rzecz od początku do końca, od nadejścia listu do ostatniego krzyku spalonych wraz z chałupą ludzi. Wszystkie uczucia, które przebyła, i wszystko, co zrobiła opowiedziała z największą dokładnością, nie pominąwszy ani jednego szczegółu.

Skończywszy, wyjęła z kieszeni dwie kartki papieru i, ażeby rozróżnić je przy ostatnich błyskach ognia, poprawiła jeszcze swoje okulary i rzekła: „To, to jest śmierć Wiktora.“ Pokazując drugą dodała, wskazując głową na czerwone gruzy: „To są ich nazwiska, abyście napisali do nich.“ Podała spokojnie białą kartkę oficerowi, który trzymał ją za ramiona.

— Napiszesz im pan, jak się to stało i powiesz rodzicom, że to ja zrobiłam, ja Wiktorya Simon Dzika! Niezapomnij pan.

Oficer wydał rozkaz po niemiecku. Schwycono ją i rzucono o ciepłe jeszcze ściany jej mieszkania. Potem dwunastu ludzi uszykowało się twarzą do niej na dwadzieścia metrów odległości. Ona się nie ruszała. Zrozumiała i czekała.

Rozległ się rozkaz, a po nim natychmiast przeciągły wystrzał. Jeden strzał spóźniony poszedł po innych.

Stara nie padła. Schyliła się, jakby podkoszono jej nogi.

Oficer pruski zbliżył się. Była prawie pocięta na dwoje a w skurczonej ręce trzymała list skrwawiony.

Przyjaciel mój Serwal dodał:

— To przez zemstę niemcy zniszczyli zamek, który do mnie należał.

Ja zaś myślałem o matkach czterech dobrych chłopców, którzy tam spłonęli i, o heroizmie tej drugiej matki, rozstrzelanej pod murem.

I podnosiłem czerwony kamień, jeszcze zczerniały od ognia.

Tłom. *W. Kostyn.*

waniem poświęca się francuz Bernard Perez. Niewiele jest dziedzin tak ponętnych dla spostrzegacza, a zarazem tak obfitych w nieznane jeszcze fakty. Kiedy dziecię zaczyna się rozwijać umysłowo i moralnie? Jakie popędy występują w niem wcześniej, a jakie później? Jakie uczucia są mu przekazane dziedzicznie, a jakie mogą być jedynie wszczepianemi? — oto ułamek nieskończonego szeregu pytań, domagających się odpowiedzi. Perez zbadał już pierwsze trzy lata życia, a niedawno poddał rozbiorowi objawy duchowe w czterech następnych *). Jakkolwiek usiluje on być od szkół całkiem niezależnym, za ideę przewodnią służy mu oczywiście ewolucyonizm — i dlatego w duszy dziecięcej szuka takich samych zjawisk, jakie wykryła nauka o zarodku w embryonie, tj. powtórzenia w krótkości przebytej przez gatunek drogi rozwoju. Wiek niemowlęcy stanowić ma most, łączący inteligencyę zwierząt z poziomem umysłowości człowieka dojrzałego. Na korzyść tej hypotezy przemawia zwłaszcza strona uczuciowa dziecka. I w niem instynktem pierwotnym i z początku jedynym jest samolubstwo, gniew, zazdrość, gwałtowność, okrucieństwo. Z czasem dopiero przychodzi rozwaga, rachująca się z dobrem bliźnich. Zjawia się współczucie, które można dostrzedz nawet u wyższych zwierząt, jak świadczy wiele przykładów, podanych przez Darwina, a opiewających litościwość małp, psów i ptaków. Bardzo interesujące są u dzieci wybuchy gniewu, nader rozmaite pod względem wywołujących je przyczyn. Do tych należy nerwowość, instynkt samozachowawczy, nieznoszenie przeciwieństw woli. Popędliwość stanowi niekiedy źródło cennych wydatności charakteru i dlatego zamiast karcić i tępić nieopatrznie, należy raczej miarkować ją refleksyą i nauczaniem.

Kiedy właściwie budzi się w nas pierwsze poczucie dobrego i złego? Trudno datę określić dokładnie. To pewna, że przed szóstym lub siódmym miesiącem życia śladów jego nie widać. Później, pomiędzy drugim a czwartym rokiem, kiełkuje już świadomość różnic pomiędzy nagannem i chwalebnem, ale podstawą jej jest po prostu rozkaz lub zakaz wewnętrzny, jak to ma miejsce u tworów, poprzedzających człowieka na drabinie rozwoju. Samorzutnych, niewymożonych groźbą kary lub obietnicą nagrody, skrupułów i porywów, dziecię jeszcze nie posiada. Dopiero pod wpływem dobrze podniecanej rozwagi rodzi się wewnętrzna walka pobudek.

Jeżeli poczucie moralne stanowi spuściznę po przodkach naszych, to dlaczego przyroda tak nierówno rozdzieliła ją pomiędzy ludzi i skąd owa chwiejność sumienia i pohopności do grzechu, dochodząca do zupełnego kalectwa etycznego?

Odpowiedzi udziela psychologia pamięci. Dowiedziono (Ribot), że najłacniej ulegają zapomnieniu zabytki najświeższe. Wskutek choroby mózgu lub całego systemu nerwowego, jednostki tracą coś ze swego dorobku umysłowego; bywa to pospolicie umiejętność lub język najpóźniej zdobyty. Najtrudniej zaś ulatniają się fakta i wrażenia, doznane w latach młodzieńczych. W genezie ducha zmysł moralny jest taką zdobyczą młodzieńczą — nic przeto dziwnego, że ją ten i ów postradać może. Niechaj tylko dziedziczność i dobór naturalny prowadzą dalej swe dzieło, a niechybnie nadejdzie dzień, w którym moralność tak będzie wrodzoną człowiekowi, jak dzisiaj inteligencya.

Mnóstwo zajmujących spostrzeżeń porobił Perez nad rozwojem wyobraźni, uwagi, abstrakcyi, zdolności uogólniania i kojarzenia pojęć, wreszcie zmysłu estetycznego. Niepodobna wyliczać ich — tak są mnogie. Nauka wychowania powinnaby zająć się niemi bliżej. Ja zaś podniosę tylko wielką pracowitość i sumienność autora, który uwzględnił jak należy odnośne przyczynki piśmiennictwa niemieckiego i angielskiego.

Użyteczność badań nad dzieckiem leży jak na dłoni. One to najpewniej zdołają oznaczyć, gdzie się kończy dziedziczność, a otwiera pole dla działalności pedagogicznej, kiedy rozpocząć kształcenie władz duchowych i jak je prowadzić. Teorya zyska nie mniej — albowiem pozna opartą na danych pozytywnych genezę świadomości jednostkowej.

Czy równąż przysługę wyświadczy praktyce hypnotyzm — to jeszcze wielka kwestya. Chociaż doprawdy, ogarniając coraz dalsze krainy, może on poszczycić się zdumiewającymi dowodami swej zdolności wychowawczej. Redaktor *Przeglądu hypnotycznego* dr Edgar Bérillon, przedstawił na posiedzeniu Towarzystwa popierania nauk w Nancy wynik doświadczeń dr. A. Voisin, który nietylko że leczył magnetyzmem obłęd, ale nadto młodą, dwudziestodwuletnią złodziejkę, rozpustnicę, leniwą, niechlujną i brutalną przekształcił na kobietę potulną, uczciwą, schludną i pracowitą. Dr Liébault zepsutego ostatecznie żaka uczynił pilnym i gorliwym, a idyotę uważnym. Po długich roztrząsaniach słuchacze prawie jednogłośnie uchwalili wniosek podjęcia szeregu doświadczeń na kilku powszechnie znanych z niepoprawnych występków i nałogów, uczniach szkoły niższej. Tem samem więc uznali za możliwe w zasadzie oddziaływanie hypnotyzmu na skoszlawienia natur młodocianych.

Wobec rosnącej potęgi hypnotyzmu, głupieje mądra zasada filozofii: *nil admirari*. Urodziło się cudowne dziecię i odrazu wosłupienie wprawiło wytrawnych myślicieli. Z pod wydętej potwornie czaszki tajemniczo spoglądają jego oczy i zdają się zapowiadać brzemienną następstwami dla nauki przyszłość. A może czaszka ta uwypuklona chorobliwie, może mózg w niej zwyrodniony, a w mózgu woda? Chyba nie — dziś już niepodobna wątpić, że nastała nowa dla psychologii era. Cieszmy się, że polakowi, Ochorowiczowi, wypadło być jednym z jej zwiastunów. Tego mu już nikt, nawet wszechmądra wszechnica lwowska nie zaprzeczy, bo mu ten tytuł zjednało w całej literaturze naukowej zachodu dzieło: „O poddawaniu hypnotycznem." Ale o nim kiedyindziej.

Rob. Dn.

*) *Les trois premières annees de l'enfant. L'enfant de trois à sept ans.* 1886.

RUDOLF FALB
i jego teorya trzęsień ziemi.

„Z powodu rozszerzanych po *tuzinkowych* pismach niemieckich różnych cudownych wiadomości o przepowiedniach R. Falba, *rzekomego* profesora i astronoma co do już zaszłych (?) i zajść mających trzęsień ziemi, a które i do pism naszych ze zbyt małą ogłędnością się dostały" — wystąpił z napomnieniem w krakowskim *Czasie* dr W., że *„dla nas wystarczy"* piękna przepowiednia (!) naszego własnego proroka: „kto się w opiekę poda Panu swemu..." Pomimo całej doniosłości tego napomnienia, sądzimy, że „dla nas" ono nie „wystarcza" i że kilka objaśnień, dotyczących „rzekomego astronoma" i jego teoryi przyda się czytelnikom naszym. Materyał poczerpiemy z „tuzinkowych" pism niemieckich.

Rudolf Falb, którego imię po ostatnich trzęsieniach i po publicznem wytłomaczeniu ich przez niego na odczytach w Berlinie przesunęło się w wszystkich ustach ukształconego ogółu, doszedł do sławy obecnej drogą niezwykłą i w części awanturniczą. Z. Feldmann słusznie nazwał go „charakterem renesansowym," przypominającym wielkich odkrywców, reformatorów i bandytów. Urodził się (1836) w Obdach, w Styryi. Syn ubogiego włościanina, oddany został naprzód do krawca. Ponieważ jednak chłopiec posiadał głos piękny, ofiarowano go klasztorowi benedyktyńskiemu w St. Lambrecht, gdzie śród mnichów przebył cztery lata. Ukończywszy gimnazyum w Klagenfurcie, wrócił do klasztoru i przywdział habit. Tu ze szczególnem zamiłowaniem poświęcił się językom wschodnim. Dopiero w r. 1858 wielkie zjawisko niebieskie, od swego odkrywcy nazwane „kometą Donatego," zwróciło myśl Falba w kierunku nauk przyrodniczych. Olbrzymia gwiazda, błyszcząca na firmamencie i długo wywołująca śród ludu najprzesądniejsze tłomaczenia, pochłaniała uwagę młodego zakonnika, który wpatrując się w nią z okna swej celi, zaczął w bogatej bibliotece klasztoru czytać dzieła... astronomiczne. Niezawodnie już wtedy zbudziły się w jego umyśle wątpliwości, naruszające powagę tradycyi religijnej: miał jednak nadzieję pogodzenia jej z nauką i w r. 1861 przyjął święcenia.

Przez trzy lata (za 8 guldenów miesięcznie) sprawował obowiązki księdza w wiosce styryjskiej Kainach. Obok niedostatku zaczęła w nim coraz mocniej odzywać się chęć rozerwania pęt duchowych, a ponieważ kapłaństwo katolickie zamyka swym członkom drogę powrotu do świata, więc Falb postanowił wywędrować. W sprawozdaniu misyonarza Pernego wyczytał, że chińczycy daleko łatwiej przyswajają sobie dźwięki mowy niemieckiej, niż francuskiej; porozumiał się przeto z paryskiem towarzystwem misyjnem i zamierzył jako misyonarz wyjechać do Chin. Odmówiono mu wszakże paszportu. Wtedy przyjął posadę nauczyciela języka i literatury niemieckiej w szkole handlowej w Grazu, później zaś guwernerstwo w bogatym domu arystokratycznym, gdzie zabezpieczony materyalnie, zajął się badaniami astronomicznemi, a zwłaszcza uzasadnieniem swej słynnej teoryi trzęsień ziemi.

Do odkrycia doprowadziła go — według Feldmanna, od którego te szczegóły (z *Frankf. Ztg*) zapożyczamy — pobudka zewnętrzna. W czasopiśmie swojem *Syryuszu* zaznaczył on na 7 lutego 1868 r. możliwość zmian atmosferycznych skutkiem zbliżenia się księżyca do ziemi. Był to pierwszy zawiązek jego teoryi. O trzęsieniach ziemi wcale jeszcze nie myślał i dlatego sam zdziwił się niepomiernie, gdy 7 lutego wybuchły na różnych punktach geograficznych nietylko zamiecie i cyklony, ale i trzęsienia ziemi. Zapamiętał sobie ten objaw i zaczął go w dalszych wypadkach starannie obserwować. Jakoż wywnioskował, że bliskość księżyca, który zapomocą wzmocnionej siły przyciągania wywołuje gwałtowne prądy w morzu i powietrzu, wywiera również wpływ na roztopione jądro skorupy ziemskiej. Z początku przekonanie to wyznawał sam. Jego dzieło: <u>*Grundzüge zu einer Theorie der Erdbeben und vulkanischen Eruptionen*</u> (1870) uległo silnym napaściom, opartym głównie na zarzucie, że ruch rozżarzonej masy ziemi, podobny do przypływu morskiego, wymagałby koniecznie istnienia w niej przestrzeni próżnej, czego ani dowieść, ani przypuścić nie można. Falb bronił się energicznie i teoryę swoją coraz szczegółowiej uzasadniał. Według niego owa próżnia nie jest konieczną, gdyż płynna lawa nie okazuje właściwego ruchu fal, tylko silną dążność do rozprężania się. W tej dążności napełnia ona niezliczone kanały skorupy ziemskiej i spowodowywa w nich, przez rozwijanie się gazów, wstrząśnienia, które w jakiemś łożysku sięgającem aż do powierzchni, w kraterze, stają się wybuchami wulkanicznymi, podczas gdy w wydrążeniach workowatych sprawiają wstrząśnienie. To ostatnie zatem nie jest niczem innem, tylko podziemnym wybuchem wulkanicznym.

Łączność tych zjawisk wyjaśnił sobie Falb dopiero później na podstawie spostrze-

żeń we Włoszech. Pierwsze trzęsienie ziemi, które sam obserwował, nastąpiło w Belluno 1873 r. Wkrótce potem w maju 1874 przepowiedział na sierpień wybuch Etny. Wróżbę tę przyjęto z niedowierzaniem, a nawet szyderstwem. Wybuch jednak nastąpił, spóźniwszy się o dwa dni, co zresztą prorok przewidywał. Jako korespondent *N. Fr. Presse*, u podnóża wulkanu, rozpoczął w r. 1875 swą pracę *Gedanken u. Studien über den Vulkanismus*. Po ukończeniu jej zaczął objeżdżać Austryę i Niemcy z odczytami publicznymi. Wykłady te, którym mocy dodawała katastrofa sycylijska, rozsławiły go szeroko i pomogły mu do urzeczywistnienia dawno żywionej nadziei. Falb zrozumiał, że jego teorya wymaga szerokiego oparcia na badaniach geologicznych; zwrócił się więc do klasycznego kraju trzęsień ziemi — do Ameryki południowej, gdzie czekał na niego olbrzymi i jeszcze świeży materyał.

Wyprawa ta trwała lat trzy i kosztowała go wiele nadludzkich wysiłków. Kilka razy przeszedł Kordyliery w całej szerokości, przesiedział po 5 dni i nocy w kraterach dwu największych wulkanów (Urbinas 17,900 stóp i Misti 18,700). Zdrowie jego wytrzymało wszystkie trudy. Zaraz po powrocie do Europy ogłosił część swych poszukiwań p. t. *Die Umwälzugen im Weltall.* W r. 1880 (9 października) przerażeni zagrzebianie wezwali go telegrafem; pojechał, o ile mógł, pocieszył i zapowiedział... nowe trzęsienie ziemi na 26 grudnia. Proroctwo sprawdziło się co do dnia i godziny, jak według jego obliczeń na Rivierze.

Po powrocie z Ameryki osiadł w swoim Obdachu, ale przed miesiącem przyjął poddaństwo niemieckie i zamieszkał w Lipsku. Powodem tej zmiany obywatelstwa i miejsca była... miłość, która znalazła dla siebie kącik w duszy naukowemi badaniami zajętej. Falb ożenił się. Wiedząc o tem, pojmujemy, czemu on dla *Czasu* jest „rzekomym astronomem,“ porównanym z ciemnymi wróżbitami i czemu „dla nas“ ma „wystarczać piękna przepowiednia (?): kto się w opiekę odda Panu swemu...“

Nie możemy tu pominąć jednego szczegółu, który Falb wplótł w swoją teoryę. Wykładając ją niedawno w *Gegenwart*, zamieścił następujące objaśnienie tradycyi ewangelicznej: „Obliczenie astronomiczne uczy, że w r. 33 naszej ery, 3 kwietnia nastąpiło zaćmienie księżyca. Dalszy rachunek wykazuje z równą pewnością, że dniem tym był piątek. Trzecie obliczenie dostarcza dowodu, że po tym piątku bezpośrednio przypadła wielkanoc żydowska. Trzy te okoliczności nie zbiegły się w ciągu całego pokolenia ani przed, ani po r. 33. Nie potrzebuję przypominać, że dzień wielkiego znaczenia, według autorów N. Testamentu posiadał ściśle te same znamiona. Chrystus ukrzyżowany został w r. 33, w piątek, w wigilię wielkanocy żydowskiej; nastąpiło zaćmienie księżyca, o którem nie posiadamy wiadomości dokładnych. Że je wzięto za zaćmienie słońca, zawdzięczamy to jedynie ewangeliście Łukaszowi, który do ogólnego wyrażenia dwóch pierwszych biografów: „zaćmienie“ dodał: „i słońce straciło swój blask.“ Wprawdzie z opisu trzech pierwszych ewangelistów wypływa, że pierwszy dzień świąt był piątkiem i dniem śmierci Chrystusa. Ale już Ideler przytoczył dowody, skłaniające nas do oświadczenia się za relacyą ewangelisty Jana i przyjęcia, że Chrystus był ukrzyżowany w wigilię paschy i że pierwszy dzień świąteczny w roku śmierci Chrystusa przypadał na sobotę. Że zaś, dopóki Chrystus wisiał na krzyżu, zaćmienie żadne nie nastąpiło, widać z milczenia tegoż ewangelisty, który sam stał pod krzyżem i którem takie świadectwo natury z pewnością nie wypadłoby z pamięci. Zaćmienie księżyca widocznie zaszło dopiero po zdjęciu z krzyża (które musiało odbyć się przed wieczorem sabatu) i smutni uczniowie łatwo mogli go nie zauważyć. Tylko co do ustalenia konstelacyi. Znajduje się wszakże wzmianka o piątej okoliczności, którą według naszej teoryi uważać należy za prawidłowy wynik tej konstelacyi: nastąpiło trzęsienie ziemi, które przedarło od góry do dołu zasłonę świątyni i rozwarło ziemię tak, że kości umarłych zostały wyrzucone z grobów, jak przy trzęsieniu w Riobamba 1797 r. Tradycya zatrzymała rok 33, pomieszała jednak to zaćmienie księżyca z innem, o 14 dni późniejszem, również piątkowem zaćmieniem słońca.“

A. H.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

IX.

Dobro, prawda, piękno.

Istnieją pewne wyobrażenia, które zakorzenione raz w umysłach, zarastają w nich jak ziele i trwają jeszcze, choć wykazano ich niedorzeczność, szkodliwość i śmieszność. Przechodzą w dogmat, a potem dziwi się ludzkość, że ład świata idzie jakby na przekór ich prawomocności i płacze się i zapada coraz głębiej, chcąc nieskładność ową wytłomaczyć. Starożytność przekazała nam trzy oderwane formy doskonałości, zwane ideałami: dobro, prawdę, piękno, każdy — mówić o tem nie potrzeba — dobyty z pojęcia użyteczności bądź dla jednostki, jak piękno, bądź dla jednostki w stosunku do ogółu, jak prawda i dobro. Powstałe sposobem naturalnym, jak dążność samozachowawcza, jak miłość i nienawiść, jak zachwyt i strach, miały istnienie przed przeczuciem bóstwa, boć to przeczucie wzięło się z nich a nie zinąd — i z tego prostego względu nie mogą zwać się objawionemi; żyły w ludzkich łonach, nim przyszła na świat estetyka i etyka. Co się stało? Filozofowie od Platona zaczęli w nich dopatrywać pokrewieństwa, utożsamiać je nawet, układać z nich kombinacye; i tak oparły się na nich prawidła moralności i sztuki.

Powiedziano: Tylko prawda i piękno są dobre, tylko dobro i prawda są piękne; tylko dobro i piękno są prawdziwe, tj. rzetelne, mające byt. Sądy te wyprowadzono z przesłanek: każda prawda jest dobra, każde piękno jest dobre, każda prawda jest piękna itd., zawarowanych zaślepieniem o zgodzie i tożsamości ideałów owych, za którymi innych nie przypuszczano, bo wypełniały same kabalistyczną liczbę trójcy. Rzecz zaś oczywista dlatego, co myśli, że zdania owe, prawdziwe, wzniosłe i dostojne w jednej części, stają się fałszywe i zdradzieckie w drugiej; słowem, aby sylogizmy okazały się słuszne, potrzeba człon: *każdy* zastąpić członem: *niektóry*. Błąd ten pomści ta logika okrutnie. Ile teoryj, ile systemów zwycięzkich, zwyciężonych i znowu zwycięzkich zbudowano na tych podstępnych, zasłonionych wzniosłością i wdziękiem — niby meszkiem — moczarach! Posłuchajcie.

Tylko prawda jest dobra. Czy tak? Mówi przysłowie, że prawda jest gorzka; mówią poeci, że szczęście tylko w złudzeniu. Rzeczywistość — zgodziła się na to mądrość wieków — jest bolesna; stąd lubość tęsknoty i marzeń, stąd wino i opium, stąd potrzeba wiary w życie przyszłe, słodsze niż doczesne, stąd potrzeba wzniesienia się po za świat śród rozkoszy, aby jej przypomnienie jawy nie płoszyło. Wszak powiedziano: rozkosz zawsze niedoskonała, zawsze budząca nowe pożądania nie jest tem samem nigdy obecna, ale zawsze przeszła lub przyszła, to jest żadna. Stąd idealizm, stąd pesymizm. Przystrój sobie czytelniku myśl tę cytatami z poetów — ja idę dalej.

Tylko dobro jest prawdziwe, to jest, tylko dobro ma byt; wszystko co istnieje, jest dobre, a świat najlepszym ze światów. Tak śpiewa Leibnitz, a pesymiści chórem na to: tylko złe ma byt, dobro jest najmniejszem złem. Jak wyjść z tego labiryntu? Wodzą nas po nim krętemi ścieżkami różnorodnych znaczeń dobra i zła, w których gubią się co krok najpierwotniejsze, wpojone nam przez wychowanie pojęcia. Gdyby można raz na zawsze zarzucić te niewygodne ideały, dać pokój badaniu, czem jest ich istota „sama w sobie,“ czem jest samo w sobie dobro a czem samo w sobie złe, gdyby zastąpić je innymi, w których nie mogłoby być mowy o wartości bezwzględnej, o tej duszącej bezmyślnie mózg dryakwi!

Złóżmy jeszcze jedną kombinacyę: *Tylko dobro jest dobre*, gdzie jedno oznacza prawość a drugie zyskowność, i śledźmy, jaką ma cenę dla jednostki ludzkiej występek: zdrada zabójstwo, kradzież: znów logiczna wartość zdania owego okaże się marną: „Rozkosz jest grzechem, czasem grzech rozkoszą...“ — mawiał Byron — święta prawda; mimo to za lat sto mówić jeszcze będą każde uczciwe usta: korzyść niesie tylko cnota. Spędźcie precz puste wyrazy owe, jeśli nie chcecie, aby wydały się krwawą ironią, ze słownika konwencyonalnych kłamstw.

Tylko dobro jest piękne. Baczność! Wchodzimy w dziedzinę sztuki. Czuł instynktem grecki artysta, że sztuka ma za cel kojenie bólów, nastrajanie do natury wyrodzonych uczuć; sprowadził z Olimpu bogów szczęśliwych, spokojnych, poważnych i zakuł ich w marmury. Po takie jednak ideały musiał sięgać do nieba; na ziemi znajdował człowieka, namiętność, cierpienie. Dał wprawdzie Niobie nadludzką siłę milczenia, zamknął jej usta, kładąc w zamian na czole dwie fałdy niemej rozpaczy; konającemu gladyatorowi nie pozwolił wić się z bólu, śmierć usunął po za scenę, nie pozwalając nawet bohaterom objawiać jękiem oznaków boleści. Nie zawsze mógł wytrwać w tem stłumieniu prawdy; Ajaks Sofoklesa jęczy na scenie jak dziecko, Laokoon wije się, krzycząc, pod splotami węża; w zasadzie jednak sztuka grecka zakrywa boleść, Laokoon jest dziełem późnem, z epoki upadku. Podobnie klasyczna tragedya francuska nie ośmiela się wprowadzać na scenę widowisk mordu, brutalnych uniesień; usuwa wszelką cielesną brzydotę; do dziś dnia tylko dramat naturalistyczny pozwala sobie swobód Szekspira. Silniej się za to miota w bohaterach wewnętrzne cierpienie; a ta fatalność, że najwyższym wyrazem piękna staje się najwyższa ludzka boleść, że tragedya jest królową sztuk—czy nie przejmuje grozą? Czynnikami tragicznego uczucia są według Arystotelesa i Lessinga litość i strach: litość dla bohatera, strach o własne jestestwo, a jedno i drugie wyrosło na złem. Orestes, ścigany przez furye, Edyp, wybijający sobie oczy za karę bezwiednej zbrodni, Antygona, zstępująca do grobu młoda, piękna, kochająca: Otello, Król Lear, Shylok i Hamlet, figury W. Hugo, wprowadzone sztucznie w najboleśniejsze sytuacye, czemże są, jeśli nie uosobieniem ostatecznego nieszczęścia? A postawcie przy nich ideały słodyczy, dobroci, wesela, Dorotę i Zosię i aniołów z obrazka, pięknych nie przeczę, ale czy piękniejszych?... Natura nie dba, co dla kogo dobre, a człowiek w swem nieszczęściu tak przyzwyczaił się dostrajać do pojęcia piękna i wzniosłości uczucie strachu i grozy, że piękną mu jest burza druzgocząca lasy i powodzie i pożary. Bójka na pięści nie jest piękna, bo nie krwawa, lecz piękna walka na noże, tem piękniejsza, im więcej w zapaśnikach wściekłości. Nie piękna strzelanina dwu nieprzyjacielskich wojsk z daleka, bo w niej śmierci za mało, ale piękny bój, ugirlandowany różami działowych obłoków, w których dziesiątki tysięcy giną od szabli i bagnetu. Nie jest piękny płacz dziecka, ale piękna rozpacz

matki, której porwano z kołyski niemowlę, i kochanki, której zabito ukochanego. Nie jest piękny aktor, produkujący uczone skoki w arenie, ale staje się piękny w tej chwili, kiedy widz dowie się, że tam w domu żona mu kona i dzieci z głodu mrą. Wszędzie to uczucie piękna przesączyło się przez uczucie litości. O ideały! Że zaś nietylko abstrakcyjne zło: nieszczęście, ale i konkretne złe pięknem być może, dowodem Szatan Miltona, Kain i Korsarz Byrona. Dość im budzić litość, dość im być nieszczęśliwymi.

Tylko piękno jest dobre. Tam, gdzie nieznano brzydoty, gdzie natura umiała tworzyć tylko kształty pełne i doskonałe — w Grecyi — każda fizyczna ułomność wydawała się tak nieludzką, że wnoszono z niej na moralne zło i na karę bogów. Nie rozróżniam καλόν od αγαθόν, rozkoszy duchowej od rozkoszy cielesnej i dopiero Sokrates musiał zaprzeczyć swą głową satyra temu niesprawiedliwemu sądowi. Niesprawiedliwemu?.. Nie ze wszystkiem; prawdziwemu, gdyż się wysnuł z obserwacyi. Gdy brzydkie ciało obaczymy śród pięknych i zakosztujemy goryczy wstrętu, jaki budzi, dziw-że, iż zrodzi się w nim zazdrość i nienawiść, żal do natury, złośliwość dla świata? W naszem zaś społeczeństwie, gdzie wynaturzenie wydało nieskończenie wysoką liczbę osobników brzydkich, ułomnych, oddalonych od tego ideału męzkiej i kobiecej piękności, jaki ustaliła grecka rzeźba, można rzec, odwróciły się role. Niemiłosiernym, dumnym, samolubnym, złym stał się raczej człowiek piękny, rozumiem—niezwykle piękny; zepsuły go hołdy, zachwyty, pieszczoty. Myśl o tej wyższości, ogarniając zwłaszcza u kobiety całe jestestwo, nie ma czasu uszlachetnić strony moralnej; a jeżeli nie może mieć wartości bezwzględnej zdanie, że kobieta piękna, nieposiadająca wyjątkowych sił odporu śród pokus owych, upaść musi, staje się ono prawie niezawodnem, jeżeli umieścimy ją w świecie kobiet brzydkich... (Pospieszam dodać grzecznie, że świat taki nie istnieje). Słowem, doświadczenie przekonywa nas, że śród pięknych złem staje się brzydkie, śród brzydkich zaś piękne.

Z ideałów naszych da się następnie złożyć kombinacya taka:

Tylko piękno jest piękne. Składano ją niestety często; powiada oparta na niej teorya, że tylko piękno może być dziełem sztuki — i oto macie klasycyzm, kultyzm, rafaelizm. Że dziełem sztuki może być brzydota, na to dał odpowiedź Michał Anioł, malując swoich szatanów lub W. Hugo, kreśląc swego Quasimoda. Nie mieli oni nawet zamiaru przeciwstawić wstrętom zewnętrznych kształtów ich wielkości duchowej: brzydota także objawia się gigantycznie i wtedy budzi strach i podziw, warunki wzniosłości. Na tych wyżynach schodzi się nawet z gigantycznem pięknem: budzi odrazę postać atlety w cyrku z nadnaturalnie wykształconymi mięśniami, choć widziana z daleka zachwyca. Gdzie granica piękna i brzydoty, jak śród różnych warunków jedno przemienia się w oczach naszych na drugie, to sekret oczu, które w każdym z nas widzą inaczej, smaku, który inaczej sądzi. Wielu zapewne o tem już mówiło; nie szkodzi roztrząsnąć prawdy te samemu. Idźmy dalej.

Tylko prawda jest piękna. Oto błąd w jaki wpadli realiści. Dlaczego tylko prawda? I owszem, złuda jest piękniejsza, bo idealizm podnosi kształty rzeczywiste do doskonałości wymarzonej, to jest takiej, która zadawala — co jest warunkiem rozkoszy. To też romantyzm odpowiedział zupełnie jednemu zadaniu sztuki: budzenia uczuć przyjemnych — inna rzecz, czy odpowiedział innym; w każdym razie nie w powyższym dogmacie szukać należy probierza jego wartości. Jeno, gdy romantycy rzekli: tylko złuda jest piękna, realiści popadli w ostateczność drugą, objawioną naturalizmem. Nie jest piękna mieszanina zapachów jarzyn, ryb, mięsa i sera w powieści Zoli, ani magazyn, gubiący kształty swe pod monotonną białością płócien i koronek; ani czarna kopalnia w *Germinalu*; ani ohydny dom robotnika, ani budoary prostytucyi; ani wnętrze szynkowni; ani pralnia cuchnąca parą mydlin; ani widok ospy lub delirium tremens albo plwocin suchotnika. Jest to prawda i bez wątpienia nie piękna; inna rzecz, czy nie można wyzyskać jej na przedmiot sztuki; probierz tych warunków leży znów po za dogmatem o pięknie i prawdzie. Oto jak wątpliwie, jak nieskutecznie wyprowadzają się teorye sztuki z dowolnej kombinacyi owej trójcy ideałów, rzuconych jak trzy kule w górę rękami kuglarza. Idźmy dalej.

Tylko piękno jest prawdziwe, to jest, tylko piękno ma byt, a brzydota nie istnieje. Kombinacya taka tłucze się po świecie; wszak słyszymy nieraz zdania: w naturze nie ma nic brzydkiego, wszystko jest piękne wobec Boga, ba nawet: w naturze nie było pierwotnie nic brzydkiego! Jak można mówić o brzydocie i pięknie w naturze pierwotnej, kiedy wszystko było tylko naturalne; chyba przypuszczając teoryę rzeczy „samej w sobie," pierwiastku złego i dobrego itd. Brzydota istnieje dopiero dziś, jako wyrodzenie tego, co było naturalne, podczas gdy reszta tworów i zjawisk pozostały, jakiemi były i jakim my dziś ze względu na owe drugie dajemy nazwę pięknych. To znaczy: pojęcie brzydoty powstało wraz z pojęciem piękna, a raczej przed niem o jeden błysk myśli—podobnie jak pojęcie złego przed pojęciem dobra. Oto do czego zawiodła by konsekwencya Kartezyańskiego systemu, wyprowadzającego istnienie Boga z pojęcia Boga, na zasadzie, że pojęciom odpowiadają byty. Pierwiastek złego musiałby istnieć przed pierwiastkiem dobra: szatan przed bóstwem — absurdum, zbliżone bardzo do Hartmanowskiego, bo tylko o odległość świadomości.

Pozostaje jedna jeszcze kombinacya:

Tylko prawda jest prawdziwa, jedyna, która ma wartość rzetelną i na której oprzeć się mogą wszystkie ludzkie sądy, bo jej nic zwalić nie zdoła. Zaczepiano ją jednak; ale twierdzenie biskupa Berkeleya, że świat nie istnieje po za umysłem, twierdzenie wtrącające myśl w otchłań metafizyki, dziś szczęśliwie zostało wyszydzone i człowiek może odetchnąć, przekonany, że nie śni, lecz żyje; jest to zaś pociecha wielka, bo mu wraca trzeźwość, swobodę i energię.

Trójca naszych ideałów nie zaspokaja wymagań realnego życia; nie dają one zakładu wierzytelności, bo każdej chwili wahać się potrzeba między wartością ich względną, o którą pyta rozsądek, a bezwzględną, którą przekazała tradycya metafizyki; jest po za nimi inny ideał, w którym pomieszczą się wszystkie, który odpowie skuteczniej i pewniej zagadnieniom estetyki i etyki, który ludzkości niesie ufność, zadowolenie, spokój — jest nim zasada użyteczności.

Egrot.

KARTKI ESTETYCZNE.

XV. Jeszcze jeden konkurs malarski.

Malarstwo nasze pozyskało nowego sprzymierzeńca— w dobroczynności publicznej.

Wiadomo, że kim u nas zaopiekuje się potężna ta pani, ten już może być pewnym, że z głodu nie umrze; a są nawet i tacy, którzy się na chlebie ofiarnym wcale przyzwoicie zaokrąglają...

Rozumie się jednak, że do korzystania z przywilejów potrzeba przedewszystkiem posiadać prawa; prawa zaś w tym razie zasadzają się na tem, aby udowodnić przed kim należy: materyalne lub inne — ubóstwo.

Nie chcę zastanawiać się nad kwestyą: czy wywieszanie takiego *testimonium* przynosi malarstwu naszemu chwałę inną, prócz niebieskiej („błogosławieni ubodzy itd."); trudno mi jednak wstrzymać się od życzenia: oby przyszedł nareszcie czas, w którym instytucye artystyczne i dobroczynne przestaną być — jednoznacznikami!

Co wyraziwszy, przechodzę do obrazów, na nowej wystawie zgromadzonych.

I na ogół i w szczegółach, wystawa ta jest o wiele piękniejszą od swej poprzedniczki, opisywanej na tem miejscu przed dwoma miesiącami. W objawie tym nie należy upatrywać nic więcej nad — traf. Żaden konkurs twórczości artystycznej nie ulepsza; zdarza się wszakże, iż jeden przypada w czasach pomyślnych dla niej, drugi zaś w niepomyślnych. Gdyby konkursy posiadały istotnie moc wywoływania czegoś z niczego, wówczas każdy następny powinienby być doskonalszym od poprzedniego, a hodowla talentów wydawałaby rezultaty tak pewne, jak hodowla (darujcie porównanie) rasowych koni lub owiec. Tymczasem tak nie jest.

Cokolwiekbądź, nadesłano pod adresem wystawy konkursowej kilka prac bardzo pięknych, kilka „starannych," i — jak zwykle — mnóstwo miernot, mierności swej nieświadomych.

Przepatrzmy je kolejno, jak się oczom nasuwają.

Niewielki, czyściutki i wygładzony obrazek p. Oknińskiego p. t. „W gościnie," zdradza rękę nieśmiałą, którą usiłuje drobnostkowością wynagradzać brak szerszego i pewnego siebie rozmachu. Trzymany w tonie bladym, popielatawo-niebieskim, sprawia łagodne wrażenie akwarelli. Treść jego tak nikła, iż graniczy prawie z beztreścią. Kilku sąsiadów przybyło konno w gościnę do wiejskiego dworku. Jeźdźcy weszli do wnętrza a wierzchowce ich stoją przed dworkiem. Oto wszystko. Poprawny rysunek zaleca tę scenkę rodzajową, mimo której widz przechodzi obojętnie.

P. Maszyński w „Zrozpaczonym" zamierzył przedstawić akt piąty z tragedyi życia bieżącego, kończącej się prawie zawsze samobójstwem. Obrazek jego stawia nam przed oczy chwilę, w której bohater takiej tragedyi, spisywanej następnie piórem reporterów w dziale „wypadków nadzwyczajnych," rzuca się pod koła nadbiegającego pociągu. Scena podobna, sprawiająca nawet w gazeciarskiem echu wrażenie wstrząsające, powinna była mrozić krew w żyłach, gdy ją pędzel artysty ujął w kształty plastyczne. Obrazkowi jednak p. M. daleko do tego.

O artyście tym możnaby powiedzieć w ogólności, iż kompozycye swe opracowywa zanadto po literacku. Jest on tyleż malarzem, co beletrystą. Prawie każde z jego płócien *odczytywać się* daje, jak obrazek powieściowy. Kto przygląda się naprzykład jego „Wspomnieniom babuni," wyobraża sobie mimowoli, że ma przed sobą kartę książki, z takim opisem:

„Było to w drugim dziesiątku lat bieżącego wieku. W saloniku zamożnego dworu wiejskiego, na kanapce pokrytej żółtym adamaszkiem, siedziała piękna Elwira zwijając na kłębek włóczkę, którą trzymał młody ułan Stanisław, skrycie do ręki jej wzdychający. Salonik umeblowany był ze skromnym wdziękiem, czasom owym właściwym. Nad kanapką wisiał portret bohatera z pod Austerlitz. Na gerydonie o cienkich, smukłych filarkach stały kwiaty w doniczkach, klawikord otwarty itd. itd."

Toż samo powtórzyło się i na ostatnim obrazku p. M.

Zgromadził on na nim wszystkie efekty, jakie mogłyby zapewnić literackie powodzenie opisowi tej sceny. Jest tu więc

noc — czarne kłęby chmur — blady księżyc, trupiem okiem z obłoków wyzierający — ciemna gęstwina krzaków przydrożnych — krwawe oczy latarni nadbiegającego powozu; nie brak nawet: zimnych blasków księżyca, posrebrzającego szyny kolejowe dwiema jasnemi plamami...

Wśród tego mnóstwa szczegółów opisowych drobniejc sam bohater i zajmuje równomiernc nieinal stanowisko z księżycem, chmurami, dymem lokomotywy itp. I to właśnie stanowi kardynalny błąd obrazka.

Zarzucićby mu też można psychologiczny fałsz w ruchu samobójcy, wyrażającym — namysł. Człowiek, który w sekundzie, poprzedzającej krok stanowczy namyśla się, kroku tego nie wykona...

Wojciech Gerson dał na konkurs płótno większych rozmiarów, przedstawiające fragment z panowania króla Kazimierza, zwanego „Odnowicielem." Wielce umiejętne ugrupowanie działających osób, wyborny rysunek koni i ludzi, doskonale wykreślona perspektywa i koloryt we wszystkich szczegółach obrazu szczęśliwie zrównoważony — świadczą, iż to robota artysty ukształconego i teoryi malarstwa dokładnie świadomego. Na nieszczęście, pewna, właściwa temu talentowi, a niewątpliwie z nadmiaru akademickiej poprawności wypływająca ociężałość, pozbawia piękną tę skądinąd kartę, wdzięku i lotności, dwu przypraw, bez których nawet i malarstwu historycznemu trudno się obejść.

P. Kostrzewski, odtwarzając na płótnie Lenartowiczowskiego „Maćka," popełnił omyłkę. Popełnił nawet dwie omyłki. Omylił się najprzód co do właściwości i zakresu swego talentu; omylił się następnie co do znaczenia ślicznego wiersza, zaczynającego się od słów:

Jak nie mam być wesoły,
Klej mi zdechły dwa woły...

Omyłka, co prawda, zbyt rażąca — któż bowiem nie wie, że ten Maciek, który „na złość muzykom, śmieje się i wykrzyka" objawia sztuczną jedynie fantazyę, pod maską której serce pęka mu z boleści? I komu też jest obcem, że figlarny pędzel p. Kostrzewskiego przedmiotów poważnych i smutnych dotykać nie umie i dotykać nie powinien?

Cała melancholia i ironia, cały powab subtelny, nadający wierszowi piętno odrębne, jedyne w swoim rodzaju i wysoko poetyczne, przepadły bez śladu na płótnie naszego humorysty. Widzimy tam wprawdzie Maćka, zabierającego się do tańca z Kaśką— ale jest to sobie zwyczajny Maciek, jakich w każde święto, w każdej wiejskiej karczmie spotyka się tuzinami.

O ileż trafniej odgadł i wytłomaczył poetę — muzyk! Pieśń Moniuszki i wiersz Lenartowicza tak ściśle się zespalają, że rozdzielić ich prawie niepodobna.

Do klejnocików wystawy należy „Żniwo" p. Alchimowicza. Sama czynność żniecia jest tu zresztą dodatkiem tylko, główną treść obrazu wypełnia pejzaż. Pejzaż ten, ukazujący nam kawałek złotego od dojrzałych kłosów pola, obramowanego z dwu stron leśną gęstwiną, kąpie się w potokach gorącej, słonecznej jasności. Zdaje się widzowi iż z płótna bucha nań żar letniego południa, ochładzany przyjemnie świeżymi oddechami lasu. W silnem oświetleniu każda barwa płonie najmocniejszym swym tonem, nadając obrazowi wielkie bogactwo kolorytowe. Na błękitnem niebie zbite masy zieloności odrzynają się prawie czarnemi plamami.

Śliczny to obrazek, obok którego powiesiłbym w znaczeniu odpowiednika: „Pełnię" p. Świeszewskiego.

Na tamtem płótnie grzeje nas i podnieca lato i południe; na tem obwiewa cichą melancholią: zima i noc.

P. Świeszewski stoi w pierwszym szeregu naszych pejzażystów, a jakkolwiek szkoła dzisiejsza zarzucićby mu mogła, iż naturę po swojemu „upiększa," dopuszczając się względem niej lekkiej nieszczerości, przyznać mu trzeba, iż duszę przyrody rozumie i odtwarza lepiej, niż wielu innych.

Prawda, że artysta ten wybiera do swych obrazów najefektowniejsze tej duszy przejawy, że najchętniej maluje zachody słońca, wschody księżyca itp., niepodobna wszakże czynić mu z tego zarzutu. Cokolwiekbądź, mówią naturaliści, *prawo wyboru* będzie zawsze kierowało okiem i ręką artysty.

„Pełnia" pokazuje nam wnętrze lasu, przyprószonego śniegiem. Na niebie zamatowanem mgłą płynie księżyc w „lisiej czapce." Cały pejzaż oblewa światło przytłumione, spokojne, jakby padające z lampy, mlecznem szkłem nakrytej. Dużo w tem wszystkiem łagodnego, melancholijnego wdzięku.

P. Alchimowicz, oprócz wspomnianego wyżej żniwa, nadesłał jeszcze obrazek, przedstawiający strojną damę, wśród strojnego również otoczenia. Nazywa się to: „Ze sfery buduarowej." Sfera to mdła i dla sztuki niewdzięczna, obrazek ten więc, choć ze smakiem malowany, wrażenia silniejszego nie czyni.

P. Wolski upodobał sobie ułanów i chętnie ich przedstawia w przeróżnych sytuacyach, a coraz innem otoczeniu. Obecnie pokazał nam ich, ucierających się z huzarami, w rzadkim, brzozowym lasku. Jest w jego obrazie dużo ruchu, jest kilka nowych i szczęśliwych pozycyj koni, jest efektownie traktowany pejzaż, jest wreszcie skrupulatnie zachowana wierność uniformów, brakuje tam tylko jednego, a mianowicie: właściwej utarczki. Ci wszyscy rycerze w nowych i błyszczących mundurach przepowiadają sobie może lekcyę z manewrów, ale nie biją się naprawdę. Nawet i ten dym, niby to z pistoletów wydobywający się, a śmietanową plamą zabielający cały środek płótna, wydaje się sztucznym jakimś i podejrzanym...

A przytem p. W. grzeszy — tak w tym, jak i w innych obrazkach — kolorytem, niedostatecznie jeszcze zrównoważonym, w którym zwłaszcza gorąca żółtość zbyt krzykliwie na wierzch się dobywa.

Duże, bardzo duże płótno, na którem znajduje się dużo, bardzo dużo popielatej, we wszystkich możliwych odcieniach rozprowadzonej farby, to — „Zbieranie ranных" p. Ryszkiewicza.

Jestże to scena podpatrzona w rzeczywistości? Wątpię. Obraz p. R. czyni wrażenie tak mętne i tak wyraźnie zdradza niepewność artysty, maskującego nieokreślonymi kształtami brak określonych pojęć, że wątpić nie można o jego fantastycznym rodowodzie.

Ale i fantazya stworzyć mogła z tego motywu rzecz o wiele poetyczniejszą i głębszą. Widocznie jednak cudotwórcza ta sfera niedostępna jest rodzajowi talentu artysty, który, jak dotąd, dowiódł jedynie, iż umie dość dobrze malować z natury — konie.

Zauważyć tu można, iż przedmioty pogłębione psychologicznie lub też o nastroju uczuciowym i tragicznym uchylają się zupełnie z pod zdolności naszych dzisiejszych „pracowników pędzla." Patrząc na ich „kompozycye" (!) blade, pospolite, które ani ziębią, ani parzą, możnaby łatwo posądzić wszystkich o zupełny brak uczucia. Wolę jednak objaw ten przypisać wpływowi szkoły dzisiejszej, która zmieniając paradoks francuskiego rozkiełznanego romantyzmu *le laid c'est le beau*, wywiesiła hasło: „piękno to — pospolitość!.."

Znajdują się jeszcze na wystawie portrety: Czachórskiego, Horowitza i Heymana — piękne jednak dzieła wychodzące z pod pędzla tych artystów i bez dobroczynnego konkursu oglądać można.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Tydzień Kraszewskiego. — Wspaniałomyślne przebaczanie win. — Kosztowna choć wyszarpana skóra. — Odpływ ultramontanizmu. — Przygoda śmiałka. — Ciężka służba *Przeglądu katolickiego*. — Złote serce — Prawdopodobna odpowiedź Matki boskiej. — Brak ubogich. — Chór szwedzki. — „Lutnia." — Szczególne dziwo. — 40 polaków zgodnych. — Żal i podziękowanie dla p. Sienkiewicza.

Tydzień ubiegły prasa polska poświęciła przeważnie Kraszewskiemu. *Tygodnik ilustrowany* pamiątkami po nim wypełnił cały numer bieżący, a podobny hołd złożą mu inne pisma ilustrowane. Nie każdy głos dostroił się do uroczystości żałobnego obchodu, ale ogólne brzmienie chóru dziennikarskiego wyraża szeroko odczuty smutek i różni się widocznie od egzekwij, śpiewanych nad nieboszczykiem, któremu z przyjaźni lub interesu ustawiono wysoki, oświetlony i kwiatami przystrojony katafalk narodowy. W Kraszewskim umarł niewątpliwie człowiek wielki i wielce zasłużony. Nad jego grobem nie potrzeba udawać płaczu i kłamać skargi, bo łzy same płyną i westchnienia same się wydobywają. W każdym orszaku żałobnym bywają ludzie zimni, dla uczuć rzewnych nieprzystępni, dobrze wychowani, a raczej dobrze przytępieni. Tacy chętnie polecają nieboszczyka „miłosierdziu" boskiemu lub, nie trudząc sądów niebieskich, wspaniałomyślnie odpuszczają mu grzechy. I Kraszewskiemu ten i ów coś tam przebaczył. Szlachetne dusze, składające ofiarę ze swej surowości na mogile olbrzyma! Jak one rozumieją, że bez tej ich łaski on nie wszedłby do przybytku chwały i jak kwitują go z wszelkich pretensyj! Bohater zwycięzki, przejeżdżając na rydwanie, zaczepił osią o węgieł domu i odłamał kawałek muru; gdy zmarł, właściciel domu rzekł nad jego trumną: wieńczę tę zasłużoną głowę, a kawałek muru nieboszczykowi przebaczam. Zacny chrześcianin! Podobnie czyni myśliwy, podnosząc zaduszonego lisa, któremu bok psy wyszarpały: ładna skóra, choć uszkodzona.

Pisma klerykalno-arystokratyczne okazały nad grobem Kraszewskiego największą wstrzemięźliwość i „pobłażanie." Obżałowały go wszakże mniej, niż kardynała Jacobiniego, któremu nic nie miały do „przebaczenia," i niż hrabiów i hrabiny, których Kraków posiada niewyczerpany zapas i co tydzień prawie nowym jakimś nieznanym a sławnym cieniem zaludnia pola elizejskie. Ale to naturalne: kto nie jest panem lub księdzem, musi być poddanym pańskim lub księżym. Inaczej... alboż nie pamiętacie ukrytych nurtów i jawnych dąsów podczas jubileuszu Kraszewskiego? Pisma postępowe długo i wytrwale pracowały nad wypicleniem z naszego społeczeństwa chwastów arystokratycznych i klerykalnych, aż wreszcie, zdaje się, w porze obecnej zaczynają dojrzewać plony tego siewu. Nie chcąc wyświadczać niedźwiedziej przysługi nawróconym, nie wymieniam tych, które coraz widoczniej wypowiadają posłuszeństwo hierarchii społecznej i kościelnej. Przed kilku laty jeden ze sprawozdawców politycznych pozwolił sobie nazwać Leona XIII „panem Joachimem Pecci." Wsypano też szturchańców, wsypano biedakowi, który tak sobie obmierził literaturę, że aż naprzód uciekł do Francyi południowej, a obecnie sprzedaje wyroby platerowane w Konstantynopolu. Tymczasem gdyby kto dziś wspomniał o „panu Joachimie Pecci," możeby mu darowano, skoro jedna z gazet konserwatywnych wyraźnie powiada, że kościół więcej dba o własne interesy, niż o dobro swych wiernych. „Uległy rozum" — jak mówią niemcy — zaczyna się w nas widocznie

buntować przeciwko Watykanowi, tak dalece, iż nawet podobno szlachta oświadcza w oczy proboszczom, że ten ich papież jest bardzo... dowcipnym. Jak gdyby na dopełnienie miary owego dowcipu, niemcy odsłaniają coraz nowe tajemnice poufnych wynurzeń Stolicy apostolskiej, która wielokrotnie szeptała podczas układów z rządem pruskim, że dla niej wielką wartość ma tylko ks. Bismark, nie własna trzoda, bo z tą da sobie zawsze radę. Nie wątpię, chociaż widzę, że owczarnia polska po trosze się uszczupla, pomimo wszelkich wysiłków *Przeglądu katolickiego* utrzymania stada. Organ ten budzi we mnie serdeczne współczucie. Jaki on był pewny siebie za Piusa IX! Wtedy gromił liberałów i „nieprawych" synów kościoła, bo mu piorunów dostarczał Jowisz, który chciał cywilizacyę cofnąć wstecz swoją „nieomylnością," ale był pasterzem dusz prawym. U Leona XIII służba nadzwyczajnie ciężka. Sprzedaje owce na wełnę i mięso, a każe im wysławiać swoją dobroć. Jak tu zimnego i samolubnego dyplomatę przedstawiać w roli czułego ojca! Ratują się z kłopotu jego synkowie sofizmatem, że on w tych tranzakcyach ukrył głęboko najżyczliwsze zamiary, ale tymczasem owce idą ciągle pod topór lub nożyce, a życzliwych zamiarów wcale nie widać.

Nie myślę jednak powyższemi uwagami twierdzić, że wiara u nas osłabła; przeciwnie, może nawet wzrosła, tylko już coraz częściej omija służbę i zwraca się bezpośrednio do Pana. Chociaż i służba ma dosyć zajęcia. „W tych dniach — jak donosi *Kuryer warsz.* — jeden z tutejszych jubilerów wykończył złote serce naturalnej wielkości, całe *massiv*, wysadzone drogimi kamieniami. Jest to *votum*, przeznaczone przez młodych małżonków do zawieszenia w kaplicy Matki boskiej na Jasnej Górze. Pobożna ofiara przedstawia wartość 10,000 rs." A więc... że użyję zwykłego wykrzykniku kuryerowego — pieniądze pozostały w kraju. Istotnie, ekonomika naszej pobożności ma powód cieszyć się, że złote serce nie powędrowało do Watykanu. Chociaż *Przegląd katolicki* raz na zawsze odmówił mi prawa i zdolności tłomaczenia intencyj nieba, ja jednak ani nie wyrzekłem się tego prawa, ani nie zwątpiłem o tej zdolności i od czasu do czasu poważam się odgadywać wolę mocy nadprzyrodzonych. Wprawdzie nie posiadam talentu dowodzenia, że gdy oblubienica mówi do Salomona: „lepsze są miłości twoje, niżeli wino, czarnam ci, alem wdzięczna, o córki jeruzalemskie itd." — to znaczy, iż „kościół sobie życzy być złączonym z panem Chrystusem" — brak takiego talentu w sobie przyznaję. Ale jednocześnie mniemam, że oba Zakony rozumiem, a w obecnym wypadku sądzę, że gdyby Matka boska zechciała zstąpić na ziemię, powiedziałaby do państwa S.: Moi dobrzy ludzie, ja jestem Matką Chrystusa, który żył w ubóstwie i umarł na krzyżu za swoją naukę, ale nie matką jubilera lub kupca 1-ej gildyi, więc o ile mieć pragnę sercą, o tyle złote na nic mi się przydać nie mogą. *Przegląd katolicki* powie, że to fałsz, że Matka boska tego by nie powiedziała; w takim razie proszę go, niech mi wskaże jeden wyraz w Biblii, któryby przekonywał, że Chrystus i jego rodzicielka lubili i przyjmowali złote podarunki. Gdyby spór ten rozstrzygnięty został na moją korzyść, wiem, jakby się usprawiedliwiali ofiarodawcy. Rzekliby:

— Szukaliśmy, w krótkim i długim promieniu naokoło siebie ubogich, których Chrystus umiłował i wspierać nakazał, aleśmy nie znaleźli. Wszędzie spotkaliśmy bogactwo, dostatek lub zamożność, zewsząd wyciągała ku nam ręce chciwość, znikąd nędza. Cóż więc mieliśmy zrobić z 10,000 rs., które przeznaczyliśmy na ofiarę?

Tego zaprzeczyć bym nie umiał.

Po raz drugi przyjechali do Warszawy szwedzi, śpiewający chórem. Dziw istotny: sześciu ludzi, z których każdy jest zupełnie dojrzały do zerwania sejmiku lub rozbicia stowarzyszenia, wychodzi na scenę, staje półkolem, bez dyrektora, bez pałeczki, wszyscy zaczynają śpiewać odrazu i utrzymują chór tak zgodny, tak strojny, tak dopasowany, że nie wiesz, nad czem się zdumiewać: czy nad pięknością głosów, czy nad ich karnością. Daremnie badasz, kto tu jest pierwszym, a kto ostatnim, kto rozkazuje, a kto słucha, wszyscy są równouprawnieni. Wysłuchawszy kilkunastu pieśni, myślę sobie: jakie ci szwedzi muszą mieć znakomite stowarzyszenia!

To nie my, którzy... Przepraszam, bo oto dziw większy. Założono niedawno stowarzyszenie śpiewackie p. n. „Lutnia." Ponieważ z historyi i doświadczenia znam naszą harmonię i kontrapunkt społeczny, ponieważ przytem na czele tej muzycznej instytucyi stanął adwokat, więc przypuszczałem, że go roztropnie wybrano dla godzenia wiecznie zwaśnionych śpiewaków. Tymczasem „Lutnia" występuje z pierwszym koncertem i przedstawia — no, nie szwedzki — ale dobry chór polski. W chórze tym widzimy żywioły najrozmaitsze: literatów, malarzów, urzędników, kupców itd. A to co znowu? U nas, u nas tak się ludzie pomieszali i zgodną całość stworzyli! Trudno własnym uszom wierzyć. „Lutnia" żyje dopiero kilka miesięcy, więc do pomyślnej wróżby dostarcza materyału za mało; ale jeśli utrwali się i rozwinie swą działalność, zaświadczy o jakimś przewrocie w naszych usposobieniach. Nie żartuję. Nie wyłączając teatru, ani w dziejach, ani w życiu obecnem nie słyszałem o 40 polakach zgodnych, składających chór polityczny, społeczny, literacki, czy muzykalny. Więc gdy staje przed nami taki zastęp i przez cały wieczór śpiewa harmonijnie, czujesz, jak gdyby cię kto przerzucał do Szwecyi. Czy ten cud mamy zawdzięczać talentowi p. Peplowskiego, czy też dobroci materyału? Bądź co bądź, narodził się chór polski obiecujący, który powoli wydoskonali swe głosy, przestanie śpiewać tęsknoty i zaloty chłopca do dziewczyny (bo to zbiorowemu ciału nie wypada), wytłomaczy p. Adamowskiemu, żeby nie grywał nudnego, jak pół muzyki nowoczesnej, koncertu Saint-Saënsa, natomiast wezwie do pomocy czarodziejskie palce pp. Michałowskiego i Barcewicza (och i Barcewicza!), a wtedy nie będziemy żałowali, że p. Sienkiewicz tylu w *Potopie* szwedów wymordował i nie myśleli o podziękowaniu mu, że ich przynajmniej tylu Wołodyjowskiemu i Kmicicowi wydarł, ilu do spłodzenia porządnego kwartetu było potrzeba.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Perła w mętach. — Szał. — Psota banku wileńskiego. — Długi. — Czem jest szlachta? — Krok stanowczy Towarzystwa kredytowego w Piotrkowie. — Niezaradność i pośrednictwo. — Dwa przykłady. — Hreczkosiej odmrożony. — Para i mięśnie. — Żywy obraz nie na scenie. — Typy Gogolowskie. — Prasa prowincyonalna o Kraszewskim.

W Mińsku Litewskim zmarła 16 marca b. r. Gabryela Horwathowa, właścicielka ziemska z powiatu rzeczyckiego. Działalność jej obywatelska polegała na wydobywaniu z nizin młodzieży, łaknącej nauki. Dzięki tej pomocy kilkudziesięciu ludzi zdolnych pracuje dziś w rozmaitych zawodach z korzyścią dla społeczeństwa. Zmarła przyjęła sobie za obowiązek dawać co rok dziewięciu młodzieńcom sposób do kształcenia się. Nadto, rodziny jej wychowańców nie pozostawały bez pomocy. Rozporządzając znacznym funduszem, sama żyła nadzwyczaj skromnie; natomiast ratowała od ruiny majątkowej dalekich i bliskich krewnych, setki nędzarzy otrzymywały jednorazowe lub stałe wsparcie. Konając w męczarniach, jeszcze pamiętała o swoich zobowiązaniach moralnych. Taką obywatelkę straciła gub. mińska. Powinna ta prowincya przywdziać grubą żałobę, bo nie prędko chyba zjawi się promień, rozpraszający ciemności i osuszający łzy mieszkańców mokradeł poleskich.

Na nizinach niech sobie ludzie płaczą i wyczekują lepszej doli. Inaczej radzą na wyżynach. Możni, którym fortuna pozwala jeszcze stać u szczytów, i ci, którzy zaledwie trzymając się jedną ręką za odłam śliskiej skały, wiszą nad bezdenną przepaścią, postanowili urozmaicić swoją krótką wędrówkę po ziemi. Naoczny świadek dziwy opowiada o tych bohaterach. Na jakiejś uczcie nietylko żołądki licznej rzeszy, hołdującej tradycyom, napełniły się szampanem, ale „płynęła formalna sadzawka z rozlanego nektaru." Inny urządził kolacyę cukrową za 10,000 rubli. Hulają „czyści" i zadłużeni. Za to bank wileński zrobił psotę rozbawionym dziatkom, sprzedając im przez licytacyę 22,729 dziesięcin ziemi za 251,502 rubli. Gdyby to pierwszy wypadek, możeby figiel był wiadrem zimnej wody na rozpalone szałem i próżniactwem głowy; ale dziś, niestety, prysznice tego rodzaju tak często się powtarzają, że chłód ich nie skutkuje wcale. Jeśli środki lekarskie nie pomagają, należy gorączkę pozostawić naturalnemu biegowi. Czekajmy zatem powrotu do przytomności w chwili, gdy ciepło szlacheckich dziesięcin spadnie do zera. Przesilenie powinno prędko nastąpić, gdyż długi ziemiańskie kraju zachodniego w instytucyach kredytowych obliczone są dzisiaj na miliony. Gdzie wsiąkły te sumy olbrzymie, czerpane dla pokrzepienia sił wycieńczonej własności ziemskiej? Słusznie utrzymuje p. Jelski, korespondent *Kraju*, że ziemiaństwo zaniedbało gruntownego wykształcenia rolniczo-obywatelskiego i błagą tylko świeci. Stąd źródło ryczałtowych upadków ojcowizn, które dopóty się tylko trzymały, póki cudza praca je krzepiła.

Towarzystwa kredytowe nie są zasobne w siły tak wielkie, iżby mogły bezustannie wyczerpywać swe soki na chwilowe podtrzymanie życia ziemiańskiego. Niszczenie majątków zadłużonych, usuwanie inwentarza, paszy, słomy i całych budowli powtarza się coraz częściej. Taki stan rzeczy zachwiał spokojem Towarzystwa kredytowego w Piotrkowie i zmusił je do energicznej obrony. Wogóle władze tych instytucyj mogą czuwać nad gospodarowaniem w dobrach nietylko z chwilą dopuszczenia zaległości w opłatach rat, ale i wtedy, gdy wypłatność jest regularną. Nadto, mają prawo ustanowić dozór, zarząd zachowawczy i żądać w razie ostatecznym pomocy władz administracyjno-policyjnych. Każdy ze stowarzyszonych winien zwracać uwagę na dobra, w których prowadzenie gospodarki wzbudza obawę. Wszystkie te środki były dotąd lekceważone, aż nareszcie dyrekcya szczegółowa w Piotrkowie, spostrzegłszy grozę, podpaliła lont we wszystkich działach bezpieczeństwa, biorąc szlachtę w ogień siarczysty. Smutna to ostateczność uciekać się aż do nacisku policyjnego, ale może ten, jak i inne powyższe środki wpłyną na ocalenie wielu rolników, a przynajmniej na przedłużenie ich bytu.

Gdybyśmy prowadzili statystykę niepowodzeń szlachty, to z pewnością okazałoby się, iż 80% wypływa z jej własnej winy. Poważne tu miejsce zajmuje niedołęstwo i dziedziczna słabość do pośredników. Szlachcic i faktor — to całość, której w innej formie wyobrazić sobie nie można. Producent, chcąc sprzedać płody swej roli, szuka kogoś, coby mu zbyt ułatwił. O to nie trudno. Handlarz znajduje się w każdem miasteczku, da zaliczkę i jest posiadaczem znacznej partyi zboża, na czem zarobiwszy grubo, pokaże język zdziwionemu ziemianinowi. Korespondent

Wieku z nad Wieprza podaje dwa takie znamienne przykłady.

Do gorzelni zakupiono w folwarku kilkaset korcy jęczmienia na słód. Okazało się, że produkt był chudy, nieczysty, wyrośnięty, słowem zupełnie niezdatny. Sprzedający zwrócił zadatek, a jęczmień odstąpił propinatorowi, który zbył towar do tejże samej gorzelni z zarobkiem po 30 kop. na korcu.

W innem miejscu małomiasteczkowy pośrednik zakupił kartofle do gorzelni. Towar uznano za doskonały. Później rolnik zerwał z kupcem za nadużycia i postanowił sam zawiązać stosunki z nabywcą. Okazało się, że kartofle poddane próbie z rąk producenta, nie wytrzymały krytyki. Mają tacy handlarze spryt wysoce rozwinięty, skoro nabywcy łatwiej ich szalbierstwu, niż szlacheckiemu honorowi ulegają.

Jakiś hreczkosiej, zamrożony w prastarej skorupie na ziemi Dobrzyńskiej, zbudził się pod wpływem promieni słońca przedwiosennego i spojrzawszy na swój żupan połatany, zapłakał rzewnie, wołając w *Korespondencie płockim*: gdzie ów dawny, błogi stosunek patryarchalny sługi do pana?! Porwały się te węzły, a lud, nie czując nad sobą żadnej opieki moralnej, dziczeje (!), używając swawoli, którą w błędnem pojęciu uważa za wolność. Przetarł sobie oczy zmartwiony szlachcic i jął rozglądać po okolicy: Jezu Chryste! — para, maszyny! Toć to zguba dla naszego rolnika. „Gdy jeszcze część zboża niesprzątnięta na polu, już widzisz na otaczającym cię widnokręgu wijące się z kominów machin parowych dymy i słyszysz regularny turkot obrotów młockarni.“ Dalej woła: dlaczego zamiast pary, nie korzystać z tanich sił ludzkich, „gdy nam się zarazem nastręcza sposobność oddziaływania na moralną stronę robotnika?“ Pod jednym względem obawa szlachcica jest uzasadnioną. Zna on doskonale swoich sąsiadów i wie, że para pracuje na ich zgubę, bo szybko wymłócone ziarno natychmiast idzie na sprzedaż, a gotówka — na opędzenie pilniejszych długów; „czy pozostały remanent wystarczy do następnego żniwa, to *cura posterior*, mówi nowo-postępowy (?) rolnik.“ Ziemianie o szczupłych środkach nie mogą zrozumieć tej prostej zasady ekonomicznej, że gdzie tani robotnik, tam maszyny są balastem. Zachęta do korzystania z *tanich sił* chyba jest zbyteczną. Szlachta pod tym względem nawet i przy używaniu maszyn walczy o palmę pierwszeństwa z fabrykantami, a *moralna strona* obchodzi ją o tyle, o ile dotyczy naruszania własności pracodawcy przy wyzyskiwaniu robotnika. Podnieść pensyę oficyaliście o pół rubla miesięcznie jest niepodobieństwem przy „ciężkich czasach.“ Za to gdy się wygra procesik z chłopami, cóż szkodzi skorzystać z tak wielkiej uroczystości? Człowiek jest w mieście, można przecież zajść do jadłodajni, by tam oblać wygraną, i w przystępie dobrego humoru nawet kazać podać butelkę tokaju dla grajków. Jedna taka biba wystarczyłaby robotnikowi na kilkomiesięczne utrzymanie.

Spotykałem obywateli, wspominających z rozrzewnieniem o burdach sejmikowych, zajazdach sąsiedzkich i szkodach wzajemnie wyrządzanych. „Krewkość“ taka dowodziła żywotności narodu. Pocieszyliby się ci ludzie, gdyby poszli w Szczuczyńskie, gdzie ujrzeliby obraz z przeszłości, przedstawiony nie na scenie i nie przez aktorów, ale na ziemi własnej, przez ludzi z prawdziwą namiętnością w piersiach. Majątek Dołęgi (11 włók przestrzeni) kilka razy zmieniał właścicieli. Najprzód sprzedany był za 20,000 rs. niejakiemu B., lecz po dwu latach gospodarki odprzedano go sześciu właścicielom cząstkowym za 42,000 rs. Zaledwie nowi posiadacze objęli majątek, rozpoczęły się straszne swary. Każdy chciał przerabiać budynki po swojemu, zabierać dla siebie co najlepsze. Nastąpiło wzajemne rąbanie wozów i sprzętów gospodarskich. Jeden z powaśnionych nabawił się kalectwa w bójce i umarł, a dwaj jego synowie wpadli do więzienia. Z powodu braku mieszkań wszyscy z rodzinami osiedli we dworze, co dawało powód do ciągłych waśni i procesów. Naroszcie dwór spłonął, a swarliwi koloniści rozproszyli się po własnych działach. Zdawało się, że już będzie koniec waśniom. Gdzie tam! — nowe procesy. Folwark niszczał coraz bardziej, nawet drzewa owocowe padły pod toporami kłótliwych sąsiadów. Znowu zabudowania gospodarskie spłonęły wraz z bydłem, ziarnem i paszą. Strata głównie dotknęła trzech najzażartszych przeciwników. Poszły wzajemne oskarżenia do władz o podpalenie. Śledztwo trwało dwa lata. Sumę ubezpieczenia (około 3,000 rs.) wstrzymano, stąd wynikły nowe długi i areszty. W końcu koloniści, wyzuwszy się na pieniactwo do ostatniego grosza, wystawili majątek na subhastacyę.

Może tę posiadłość niemcy kupią, a za lat kilka przy zgodnej pracy zakwitnie tam dobrobyt. Wtedy mieszkańcy okoliczni podziwiać będą płynącą mlekiem i miodem oazę cudzą, pośród swoich gruntów. Że takie dziwotwory trzymają się na powierzchni stojącej wody naszego ziemiaństwa, to jeszcze poniekąd może być wytłómaczonem; ale jakim sposobem typy z dalekiego gruntu przystosowują się do naszej gleby bez poprzedniej uprawy?

Niktby nie przypuścił, że Radom od dawna posiadał w swych murach postacie Gogolowskie — dwóch Czyczykowów. Byli to: referent izby skarbowej i sekretarz magistratu, którzy porozumiawszy się wspólnie, pobierali pensye za umarłych emerytów. Ale niema nic trwałego na ziemi, więc i emeryci nie mogli żyć wiecznie. To zapewne przyspieszyło ucieczkę Czyczykowów. Obecnie ich koledzy muszą z własnej kieszeni dopełniać braki kasy skarbowej. Niemiła to niespodzianka dla ludzi, którym skromna pensya zaledwie na utrzymanie wystarcza.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Izba sądowa w Odesie unieważniła kontrakt dzierżawny pomiędzy Morawskim, właścicielem dóbr w gub. podolskiej, a hr. Grocholskim, z powodu, iż umowa, nadająca dzierżawcy zbyt rozległe prawa, była obejściem przepisów o własności ziemskiej w gub. zachodnich z r. 1865—85. Akcyę o unieważnienie wytoczył Zarząd główn. naczelnika kraju poł.-zach.; sąd okręgowy w Kamieńcu oddalił ją, uznając kontrakt za ważny.

Ministeryum skarbu zgodziło się na przyjmowanie akcyzy od cukru w naturze do 13 maja r. b., licząc pud mączki po 3 rs. 50 kop., a rafinady po 3 rs. 70 kop. Nadto zgadza się na ograniczenie produkcyi i obowiązkowy eksport nadmiaru za granicę do 1 października r. b., o ile cena rafinady na targu kijowskim będzie niżej 4 rs.

Rada państwa uchwaliła kredyt na powiększenie dróg żelaznych prywatnych z charakterem handlowym w kwocie rs. 4,019,980. Z tej sumy, jak donoszą *St. Pet. Wied.*, przeszło trzy miliony pójdzie na powiększenie taboru drogi żel. zakaukazkiej.

Zarząd muzeum przemysłu i rolnictwa postanowił ułożyć program i warunki wystawy tkackiej w celu dania możności fabrykantom łódzkim, tomaszowskim i innym przygotowania się wczesnego.

Gospodarstwa włościańskie. Lud z okolic Warszawy od kilku lat prowadzi na większą skalę hodowlę marchwi, pietruszki, sałaty i innych ogrodowizn, których produkcya była przedtem w ręku specyalistów. Włościanie zakupują nasiona w składach warszawskich.

Ministeryum sprawiedliwości opracowało projekt nowej ustawy poddaństwa rosyjskiego: 1) poddaństwo wolno zmienić, jeżeli to nie pociąga za sobą pewnych zobowiązań względem Rosyi; 2) z powratem, jeśli tacy pozostają w Rosyi dłużej niż rok jeden, przechodzą do poddaństwa rosyjskiego; 3) ci, którzy opuszczą kraj i nie stawią się na wezwanie rządu, po powrocie ulegają karze zamknięcia w twierdzy od 4 miesięcy do 1 roku; 4) kto uciekając za granicę, usuwa się od służby wojskowej, jeśli wyjechał w czasie pokoju, karany będzie zamknięciem w domu poprawczym od 6 do 18 miesięcy, z utratą niektórych praw szczegółowych; jeżeli podczas wojny, pozbawiony będzie wszystkich praw osobistych i szczegółowych wraz z zesłaniem do oddalonych gub. państwa; 5) jeżeli osoba, wzywana urzędownie z zagranicy, nie stawi się w oznaczonym terminie, majątek jej oddany zostaje bezzwłocznie pod opiekę rządową.

Rabini. Według nowych przepisów, gubernatorowie mają prawo sami naznaczać rabinów, którzy winni uprzednio złożyć egzamin w języku rosyjskim za opłatą po 3 rs. na rzecz egzaminujących.

Plantacye drzew chinowych. Ministeryum dóbr państwa ma zamiar w r. b. przystąpić do sadzenia drzew chinowych w okolicach Tyflisu.

Regulacya Wisły. Rząd pruski wyasygnował na roboty regulacyjne przy ujściu Wisły 720,000 marek, w celu zabezpieczenia Gdańska od corocznych powodzi.

Katastrofa pod Bostonem. W czasie biegu pociągu przez most, wzniesiony na 50 stóp nad wodą, oderwało się i spadło pięć wagonów. 33 osób zabitych i 44 ranionych.

Król Humbert przesłał na ręce municypalności rzymskiej 150,000 franków dla ofiar ostatniego trzęsienia ziemi.

Nowa lecznica dla niezamożnych chorych będzie otwarta w połowie kwietnia r. b. w okolicach placu Ś-go Aleksandra. Udział przyjmą lekarze przeważnie praktykujący w szpitalach.

Odczynnik. Dr Bujwid znalazł reakcyę chemiczną, pozwalającą na spieszne wykrycie przecinka cholerycznego, Jast to kwas solny barwiący. Roztwór, zatruty przez owe bakterye, ma kolor różowo-fioletowy.

Zakład szczepienia wścieklizny w Warszawie miał dotychczas 180 pacyentów, z których jeden tylko umarł i to śmiercią dokładnie nierozpoznaną. Obecnie leczy się 8 osób.

Ministeryum dóbr państwa bada środki rozwoju przemysłu górniczego. Jest w projekcie ustanowienie kredytu dla właścicieli zakładów górniczych, tudzież udzielanie pożyczek na zastaw metalów już wydobytych.

Lekarstwa bezpłatne. Lecznica przy ul. Niecałej postanowiła o ile możności zastąpić recepty wydawaniem lekarstw gotowych bezpłatnie dla ludności ubogiej.

Komitet Tow. zachęty sztuk pięknych na tegoroczne premium ma przeznaczyć reprodukcyę plastyczną, tj. kopię zmniejszoną z grupy Mularskiego: „Powrót z ziemi.“

Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych miało członków w d. 1 stycznia 1886 r. 511, tegoż dnia w r. b. — 606. Ogólny obrót funduszów 14,097 rs. 50 k., w tem fundusz stały (zasobowy) 3,800 rs.

Katastrofa. W kopalniach węgla kamiennego pod Sydney, w Anglii, wskutek wybuchu gazów, 71 robotników utraciło życie.

Emigracya irlandzka. W ciągu 35 lat (od 1854 do 1886) wyemigrowało do Ameryki i Australii 3,114,496 osób. Najmniejsza liczba wychodźców (37,587) przypada na r. 1876, największą (190,322) na r. 1862. W roku 1886 — 13,416 osób, czyli o 1,000 więcej niż w r. 1885.

Młodzież szkolna w Krakowie i we Lwowie postanowiła na znak żałoby po Kraszewskim nosić czarną krepę na ramieniu.

Trzęsienie ziemi. Zgodnie z przepowiednią Falba, w d. 22 marca o godz. 3 rano dało się uczuć słabe trzęsienie ziemi w Trawniku w Bośni. Tegoż dnia o godz. 10 wieczór w St-Veit było gwałtowne trzęsienie z silnym hukiem. W Badenie, pod Wiedniem, również wieczorem dało się uczuć trzęsienie.

Nagrodę Francoeura, 1,000 fr., za pracę konkursową matemetyczną, Akademia francuska przyznała p. Barbierowi, który znajduje się oddawna w szpitalu waryatów, ale miewa chwile takiej przytomności, iż może dokonywać poważnych prac matematycznych.

Stowarzyszenie powszechnego związku literackiego w Niemczech, ogłosiło konkurs z nagrodą 10,000 marek na rozprawę: „Drugie życie człowieka na ziemi.“ Temat ma być oparty na motywach Lessinga o preegzystencyi w dziele jego: *Die Erziehung des Menschengeschlechts*. Praca może być dokonaną w jednym z 9 języków europejskich, między którymi nie pominięty i polski; uwieńczona drukowana będzie kosztem

towarzystwa w przekładzie na 8 innych języków. Termin ostateczny oznaczono na 1 marca 1880 r.

Zmarli. Jan Heurich, jeden ze zdolniejszych budowniczych w Warszawie, ur. w r. 1834, uczeń tutejszej szkoły sztuk pięknych. Wiele pism, a głównie *Przegląd techniczny* zasilał swojem współpracownictwem.

— Emanuel Kania, artysta muzyczny. Przez długi czas był sprawozdawcą w *Kur. codziennym.*

— Adam Chałupczyński, doktór medycyny we Włocławku. Znany w literaturze naukowej. Wydał dzieło p. t. *Pomysły do dziejów wiedzy świata*, oraz *Gawędy ekonomiczno-społeczne.*

— Edward Polko, inżenier, należący niegdyś do budowy kolei warszawsko-wiedeńskiej, w Deutz nad Renem, pod Kolonią.

— Karolina księżna Wittgenstein, w Rzymie. Autorka 80 tomów dzieł treści religijnej w języku francuskim.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Dr. K. w Wilnie. Można, z przesyłką 3 k. 30.

P. Wigd. Nie mniej od Pana cenimy piękny talent Konopnickiej, ale w wiadomym wywodzie szło nam o tych, dla których powieść stanowi główny kierunek twórczości, a do których znakomita poetka nie należy.

H. M. S. Dlaczego? Założeniem tego utworu jest myśl, że kobieta piękna ulega wielokrotnym i niebezpiecznym pokusom, którym często poddaje się bezwiednie, a powinna je oceniać świadomie. Czemże myśl taka przeczy emancypacyi?

Z. Sz. w Nie. Można za rs. 1 z przesyłką.

X. X. Odpowiedź nasza zajęłaby tu zbyt wiele miejsca; prosimy więc przysłać po listowną, a za trud nasz, według przyrzeczenia, wynagrodzić biednych.

Gorzelanemu. Nie możemy drukować replik bezimiennych; byłoby to nawet zbytecznem, skoro Pan zwrócił się do *Przegl. kat.* i *Kraju.* Ani drogi sądowej, ani zapowiedzianych sprawozdań nie zalecamy. Wogóle zbyt Pan przecenia wagę tego paszkwilu.

Gea. Dobrego podręcznika historyi filoz. nie ma. Stosunkowo najlepszy Lewesa. Co ma czytać osoba posiadająca wykształcenie średnie — czyż my na takie pytanie, wobec mnóstwa niewiadomych, możemy kilkoma słowami odpowiedzieć? Trzebaby wypisać cały katalog.

P. W. Krz. w P. Jeżeli Pani ma środki, zdolności, przygotowanie odpowiednie i szczerą chęć do nauki — do uniwersytetu. Niestety, u nas uposażone nawet temi dobrami kobiety marnieją w bezcelowych porywach i bezpłodnych marzeniach. Są to góry, rodzące myszy.

P. L. F. E. Piwnicy. Pomysły dobre, wykonanie w szczegółach szczęśliwe, całość — nie.

P. Józ. Tom. w Saratowie. Dzieła Shakespeare'a rs. 10, Mickiewicza wyd. Gruszeckiego rs. 3. Przesyłka około rs. 1 k. 50.

P. Aug. Z. w Krakowie. List pierwszy wykupiliśmy. W obu posyłkach znaleźliśmy tylko jeden wierszyk udatny i ten drukujemy:

Ziemia tak biała i taka czysta
W śnieżnej odzieży,
Dlaczegóż niema i uroczysta
Tak cicho leży?
Ona jak dziewczę w ślubnej sukience
Z twarzyczką bladą,
Gdy bracia, wziąwszy zmarłą na ręce,
Do trumny kładą.

Inne nie dorównywają temu.

P. Karolowi T. Prosimy o cierpliwość. Gdyby rękopis Pański był jedynym, przeczytalibyśmy go szybko; ale czekają dziesiątki innych.

P. A. Kor. w W. Jak poprzednio, tak i teraz zachęcamy do prób dalszych, bo widzimy znamiona talentu. Wiersz za mdły, powiastka bez rdzenia. Co to za figura ów p. Adam?

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Марта 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.